

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

NALEŻY NAM SIĘ MIEĆ NA STRAŻY PRZECIWKO TYM, CO WRAZ MIESZAJĄC ZŁE I DOBRE Z REWOLUCJI WYNIKŁE, POD POZOREM PIERWSZEGO, CHCIELIBY ZNISZCZYĆ DRUGIE, A NAWET WRÓCIĆ NAS DO CIEMNOTY FEUDALNYCH WIEKÓW, DOBRU WSZYSTKICH RZĄDÓW I LUDZI ZARÓWNI PRZECIWNÝCH.

(Stanisław Kostka-Potocki - Podróż do Ciemnego roku 1820)

Fok I

Łódź, 14 października 1945 r.

Nr 7

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

NIEDOCENIANE I PRZEMILCZANE

Oto sprawy, o których glucho — przy okazji naszych nie zawsze trafnych dyskusji publicznych na temat szkół wyższych.

Do istotnej reformy ustroju szkół wyższych nie dojrzelismy. Ani materialnie, ani organizacyjnie. Na razie musimy ten dział szkolnictwa odbudować w dawnym kształcie, rozsądnie racjonalizując jego ustrój i organizację w tych wszystkich wypadkach, gdzie pozwała nam na to środki: materialne, ludzkie, organizacyjne.

To wszystko prawda. A jednak my wszyscy, którzy grozę „czasów pogardy” i okropniejszych jeszcze czasów triumfu wojującego faszystu przeżyliśmy i oceniliśmy w swoim sumieniu, jako zawinioną pośrednio także przez intelektualistów, przez tych nieuczulych i nieuczulonych „klerków, którzy nie zdradzili” — my wszyscy patrzmy i powinniśmy patrzeć z niepokojem na to, co się na naszych uniwersytetach dzieje.

Niewiele — może nie (choć się myśleć o tym nie chce) — nie zapowiada, że te z przeznaczenia ośrodki cennej, naukowej, odpowiedzialnej myśli — stana się źródłem wielkiego wstrząsu duchowego naszej epoki, wstrząsu, który by obudził zapomniane nakazy idealizmu, potrzeby sprawiedliwości, wolności, braterstwa.

Przeciwnie, wiele mówi, że jest źle. gorzej niż być mogło. Że na uniwersytetach naszych mamy znów atmosferę ciemnego egoizmu klasowego, zacofania, tępego tradycjonalizmu.

Przyczyn zła — przyczyn, które dadzą się już teraz usunąć, szukać można albo w młodzieży albo w profesorach. W sprawie młodzieży diagnoza jest prosta: skład społeczny tej młodzieży jest chorobliwy, nienormalny — powódle schorzenia i jest objawem choroby zbiorowości. Lecz to, co było trwałą przyczyną schorzenia naszego narodu — schorzenia tak boleśnie odczutego w 1794, 1831, 1863, 1939 r. — przestało istnieć. Skończyło się krzywdzące uprzywilejowanie drobnej garści, uciśkającej podstawowe masy narodu. Wydarzenia, które dziś sami tworzymy, usuwają błędy historii raz na zawsze. Nie może pozostać zatem i rezultat tej niesprawiedliwości w naszym życiu kulturalnym: zupełna właściwie nieobecność młodzieży chłopskiej i robotniczej w szkołach wyższych, a zatem i w grupie wysoko kwalifikowanych pracowników. Jeśli idzie o studentów zatem, przyczyna jest uchwytana. Rada najlepsza: zmienić skład społeczny młodzieży akademickiej. Odpowiednie kroki już przedsięwzięto. Otwarto bramy szkół wyższych wprowadzając wstępny rok studiów, organizuje się sprawę burs, stypendiów. Realizacja tego to trudny problem. Wymaga osobnego artykułu. I na tym na razie ten punkt trzeba skończyć.

A czy z drugą stroną — profesorami wszystko jest w porządku? Widzimy, że nie. Znów zdradzają chorobę symptomów. Znamy te z prasy. Społeczeństwo przez swoje organy na nie reagowało. Wystarczy przypomnieć choćby uchwałę Centralnej Komisji Związków Zawodowych.

Ale wiemy i co innego. Uniwersytet nie jest i nie może być tylko wyższą szkołą zawodową, musi stać się ośrodkiem twórczej pracy naukowej inaczej skostnieje, zamrtwieje, straci swój sens i jednocześnie będzie wypuszczał niedoświadczonych, gdyż tylko, posuwając naukę naprzód można jednocześnie wykształcić dobrego specjalistę.

Otóż nauka, badania naukowe, szkolenie krytycznego, badawczego umysłu, choćby tylko na stopniu samodzielnego zawodowca-praktyka — to trudne rzemiosło. To trudna technika. Trzeba być dobrym technikiem, aby uprawiać naukę i w istocie samodzielnie uprawiać zawód. I to nie tylko inżyniera. Odnosi się to również do badacza-historyka i, podkreślam to, do nauczyciela-historyka.

Uczyć na uniwersytetach muszą i będą uczyć ci, którzy dostatecznie penuhi nad trudnym rzemiosłem badacza danej dziedziny i innych mogą nauczyć tego rzemiosła, tej właśnie techniki. To musi być ich główną kwalifikacją. Myśle, że wszyscy rozumiemy to dobrze. Nie wolno nam — w naszym ubóstwie naukowym — rezygnować z niczyjej wiedzy. Zbyt długo szkolił się profesor z prawdziwego zdarzenia, choćby był tylko bezdusznym, ale dobrym technikiem w swojej dziedzinie.

Sprawę tę rozmyślnie upraszczam. Sztucznie wyodrębniłam w pracy naukowej technikę badania od jej społecznej,

ideologicznej treści. W praktyce takich rozłączeń nie ma. Uczyniłem to, by wyraźnie wskazać dlaczego musi być wykorzystany każdy doświadczony pracownik naukowy jako technik, którego nie łatwo zastąpić.

Ale to nie rozgrzesza, nie uwalnia od troski, nie likwiduje niebezpieczeństw.

Szanujmy uczonych — a jednak walczmy o uzdrowienie atmosfery ideowej na uniwersytetach.

W dotychczasowych dyskusjach wysuwana była na plan pierwszy sprawa aktualnej ideologii społecznej i politycznej. Trudno jest zwalczać nawyki politycznego myślenia czy politycznych przesądów po prostu... starego człowieka. Można i trzeba prowadzić walkę tam, gdzie ma się do czynienia z aktywnym wrogiem politycznym. Z tej walki nie wolno pod żadnym pozorem rezygnować, nawet jeśli wróg okrył się togą profesorską. Na szczęście tego rodzaju wypadki w środowisku naukowym nie bywają regułą. Toteż postulat politycznej czujności nie zatłwi sprawy.

Wolno i trzeba dołożyć wszelkich starań, by przeciętny student nie wychodził jak dotychczas z uczelni, jako rozpolitykowany a jednocześnie politycznie analfabeta. Pewnego wykładowcę historii ruchów społecznych prosiła przed paru tygodniami studentka o tytuły prac, które pozwoliłyby jej „obalić doktrynę ekonomiczną Marksa”. Profesor, jak należało się spodziewać, polecił jej zapoznać się uprzednio z tą teorią. Na to studentka odpowiedziała, że „Marsk to dla niej za dużo, ona chce tylko coś, co by jej pozwoliło rozprawić się z Marksem i koniec”. To właśnie przykład rozpolitykowania i analfabetyzmu. Demokracja winna zabezpieczyć sobie wpływ na młodzież, wyznaczając odpowiednich ludzi, którzy zapoznają ją z tym wszystkim, czego potrzebuje współczesny człowiek, aby bez przesądów pojmować otaczającą go rzeczywistość społeczną.

Ale i ten postulat nie rozwiązuje sprawy. Źródło bowiem zła nie leży tylko w jakże często wstecznej atmosferze politycznej naszych wyższych uczelni. Źródło zła leży również w skostniałych i wstecznych ideologiach naukowych, panujących w wielu seminariach i pracowniach. Bez krytycznego kultywowania tradycji zamiast krytycyzmu i niepokoju badawczego paćczy umysły, wychowuje wsteczników o ciasnych głowach i drobnomieszczańskich horyzontach. Gdy tymczasem każda rzecz, krytyczna robota badawcza jest szkołą charakteru, a nawet szkołą myślenia politycznego, z której nie należy rezygnować. Oto sprawy przemilczane i nie doceniane! Na łamach „Kuźnicy” ukaże się wiele artykułów, poruszających wewnętrzne potrzeby organizacyjne i ideologiczne poszczególnych nauk. Artykuły te wskażą szczegółowiej wypaczenia panujące u nas ideologii naukowej w szeregu dyscyplin. W tym artykule wystarczy ogólnie wskazać punkty zapalne.

Zacznijmy od nauk humanistycznych. Przeżywają one głęboki kryzys metodologiczny. Dziś bardziej niż 50 lat temu świadomi jesteśmy jak szkodliwe jest powtarzanie błędów, uświęconych tradycją uniwersytecką. Do przeszłości należy spokojne zadowolenie z siebie epigonów pozytywizmu, zbierających bez widocznego celu przyczynkę do przyczynki, dla jakiejś rzekomo przyszłej teorii, której na razie nie można sobie wyobrazić.

Dziś metodologiczna krytyka nauk zmierza do usunięcia z niej wszystkiego, co uchylbia rygorom sprawdzalnego empirycznego badania, zmierzającego do teoretycznego wyjaśnienia i do ustalenia prawidłowości, związanego z żywą praktyką. Tymczasem w naszych seminariach humanistycznych zamyka się drzwi i okna przed nowymi prądami naukowymi. Byłem uczestnikiem i świadkiem wojny o nowatorstwo naukowe w tej dziedzinie, znam te rzeczy szeroko, a i „od kuchni”. Oto przykłady:

Tradycja badań literackich każe wyjaśniać dzieło i jego genezę przez odwołanie się do biografii autora. Toteż każdy wykształcony widz, oglądający niedawno w Teatrze Wojska „Fantazego”, znał wszystkie nie potrzebne mu brednie na temat miłości Zygmunta Krasickiego do pani Bobrowej, której karykaturą ma być rzekomo arcydzieło Słowackiego. Tak absurdalny wniosek wyniesie każdy młody czytelnik uczonego komentarza do „Fantazego” w wydaniu Biblioteki Narodowej. Natomiast widz, wykształcony na

TADEUSZ HOŁUJ

SPRAWA MĘSKA

*W mur i kratę cień twój wrósł,
brzękiem kluczy po nocach straszyl,
wszami pelzał po ciele, gniółł,
zmorą gardła zaciskał nasze.*

*W sinych ranach obłądny ból —
krzychał ciębie i palce łamał,
w płaczu męskim i trwodze był,
kiedy we krwi więzienia nawa.*

*Widmo drutów orado dłoń,
ogień płowe biły po oczach.
Strażnik wołał ostatni krok
licząc kulek słodziutki groszek.*

*Jeszcze człowiek. Obóz szedł
trójszeregiem nieznanym bloków,
potem martwych cuchnący chrzest
i zwierzęcy, ostry niepokój.*

*Ileż liczyć nocy i dni
jeśli i tak powiodą szybko.
Rozpruć codzien. Puste, bez krwi,
kiedy ucho do niego przytknąć.*

*Nie uwolni cię żaden bóg,
Trwać — to znaczy walczyć bez niego.
Sprawa męska — być sobą tu,
gdzie się bogom mówi — kolego.*

*Chorzy włokąc brzemienny brzuch
patyczkami wołają nóżek:
pokarz kłeską, jeśliś jest bóg
wroga mego, cuchnącą burzę.*

*Gaz i kula. A ręce puste
tkwią w obozie jakby niewypał.
Jeszcze białe od żaru ruszta,
jeszcze glucho, Wołgi nie slychać.*

*Na co liczyć na wyspie złej
góry święte składając z trupów,
Co jest większe niż nasza śmierć
wpełzła w szaro-niebieski mundur.*

*Ręką — broń, stalowe wiosło,
sercem męskim na próżno skarga,
mocny będzie nie — czekał, rosnał
Lata, lata. Niech będzie walka.*

Obóz Oświęcim, jesień 1942.

W tym komentarzu, nie wie nic o dekabrystach i rosyjskim ruchu rewolucyjnym, a bez tego może nie dotrzeć do głębokiej moralnej tendencji tej sztuki, po prostu nie rozumie nawiązanie utworu, bo aluzje do tych spraw stanowią o sensie sztuki. Metoda biograficzna znieszczała teoretyczną wiedzę o literaturze, a pośrednio znieszczała pojmowanie sił napędowych procesów historycznych, pojmowanie człowieka — twórcy historii, twórcy kultury. Słowacki — tworzący na złość przyjacielowi, i Słowacki — apologeta moralnej piękności ruchu wyzwolenieckiego — oto odważę się powiedzieć rezultaty dwu różnych historiozofii.

Cytuję to dla przykładu. Metoda biograficzna ma stare tradycje opierała się o cały kompleks zespolonych z nią idei naukowych.

Konsekwentna walka z przerostem biografistyki wymagałaby przebudowy metodologicznej całej wiedzy o literaturze. Otóż mówimy jasno: pionierzy tej, nowej krytycznej wiedzy pracowali poza uniwersytetami jak np. Wójcicki, Fr. Siedlecki, Zawadzki. Na uniwersytecie mielibyśmy i mamy bezwład myśli, tradycjonalizm metod, często, zwłaszcza w pracach seminarijnych, karykatury wyników naukowych.

A historia? Nasi adepti historii z reguły nic nie wiedzą o socjologii i ekonomii. Nic dziwnego, bo również ich mistrzom nie potrzebna była wiedza o gospodarce epoki dla zbudowania jej syntety historycznej. Historia gospodarcza Polski (zwłaszcza XIX w.) — to kategoria tajemnic. W uniwersyteckim nauczaniu historii dominowało przecież tradycjonalne stanowisko, że historia jest nauką teatralną, a to jest opisująca niepowtarzalne, jednorazowe fakty w ich artystycznej pełni. Wszelkie próby historii naukowych, szulcejszej praw społecznych, były na marginesie głównego nurtu prac.

Na pięć uniwersytetów jeden Czarnowski próbował rozumieć procesy społeczne a nie kreślić w najlepszym razie wyidealizowane profile psychologiczne działaczy przeszłości. A tylko dla takiej historiozofii potrzebna jest szeroka znajomość dyscyplin pomocniczych, pozwalających ujmować wszelkie procesy kulturowe jako całość obiektywnie uwarunkowaną, zależną od sytuacji społecznej — a nie jak się potmawiało w tradycji XIX wieku — od dyspozycji psychicznych „bohatera”.

Toteż uprawiano się u nas historię, znieszczała obraz właściwego mechanizmu dziejów. Historyk wybierał sobie w archiwum partię dokumentów i dopiero taki zespół świadectw wyznaczał mu problematykę. Było to, jak sformułował Witold Kula, badanie dokumentów — a nie rzeczywistości historycznej. Gdy odwrotnie dla rozwiązania konkretnego problemu należało zbierać dokumenty, które czarno czy biało mówią o tym właśnie problemie.

I tak np. historycy pierwszego typu, myśliciele o powstaniu naszej klasy robotniczej w XVIII wieku, widzieli w dokumentach anegdotki o włóczęgach, których siłą zapędzano do fabryk. To nasuwało problem... moralny: oceny tych założycieli naszego proletariatu jako niepoprawnych leniuchów. (To nie żart — a autentyczne stanowisko dostojnego historyka).

Tymczasem, istotnym problemem było ustalenie praw rządzących procesem powstawania proletariatu w Polsce. Wbrew manierze opowiadania anegdot o niepowtarzalnych faktach, wyczytanych z ciekawych dokumentów, postawienie problemu: czy włóczęga XVIII wieku miał poza fizyczną zdolnością do pracy społeczne cechy robotnika — pozwoliło szkole Czarnowskiego znaleźć odpowiedź, że tam, gdzie nie ma zorganizowanego rynku pracy i tym podobnych instytucji, nie może być mowy o robotniku w naukowym tego słowa znaczeniu. Włóczęgostwo w XVIII wieku, to nie problem moralny i psychologiczny lenistwa, to problem historyczno-społeczny prawidłowego, zdefiniowanego społecznie i gospodarczo stopniowego tworzenia się instytucji wczesno-kapitałistycznych w Polsce. I znów tradycyjna metoda znieszczała obraz, odczuwała myślenie, rodziła w konsekwencji fałszywe sady na temat dynamiki procesów historycznych w ogóle, a przez analogię, na temat współczesnych ruchów społecznych.

Nie będę mnożył przykładów. Podobny stan rzeczy istnieje i w innych naukach humanistycznych. Pragnę z wielką nasileniem podkreślić tego społeczną szkodliwość. Wśród humanistów na naszych uni-

wersytetach ideologie naukowe nie ścierają się, a tak zwane pogardliwe „nowinkarstwo” źle jest widziane. Trzeba się temu ostro przeciwstawić! Albowiem kult tradycji w pracy zawodowej odczuwa młodzież od krytycyzmu i w każdej innej dziedzinie. Zwłaszcza że, mówni otwarcie, dominują u nas wsteczne tendencje naukowe, wyrosłe z reakcyjnych dążeń społecznych. Cytowany przeze mnie przykład historii mówi wiele. Zaniedbanie studiów społecznych i gospodarczych na rzecz jednostronnie pojętej historii politycznej i historii prądów duchowych utrwala w młodzieży najfałszywszy pogląd na to, co jest podstawą a co następstwem w procesie przemian społecznych, przez to narzuca fałszywą hierarchię wartości kulturalnych, i w konsekwencji patologiczną postawę w praktyce społecznej.

Jeśli w naukach humanistycznych mamy kryzys metodologiczny, to w przyrodniczych wręcz światopoglądowy. Nieporozumienia metodologiczne nie są może tak groźne. Fałszywy światopogląd natomiast paczy umysły bezpośrednio. Nie każdy student na przykład z naturalistycznego traktowania socjologii wyniesie niechęć do reform ustrojowych społecznych. Nie każdy bowiem wywnioskuje, że uznawanie za główny motor życia społecznego przyrodzonych potrzeb natury ludzkiej ka-

M. BIERNACKI

ZAGADNIENIA NASZEJ APROWIZACJI

Zagadnienie zaopatrzenia szerokich mas w przedmioty niezbędne, jak żywność, odzież i obuwie stanowi najbardziej palący problem naszej rzeczywistości gospodarczej. Zakończenie wojny i wejście w fazę pokoju wysunęło w społeczeństwie naszym zagadnienie aprowizacji na pierwszy plan. Ludzie, zmęczeni wojną, wycieńczeni z powodu złego odżywiania się i nędznej odzieży w okresie okupacji, chcą i dążą do gwałtownej zmiany warunków życiowych. Dążenie to jest zupełnie zrozumiałe i zrozumiałe też jest zainteresowanie społeczeństwa i prasy tymi problemami, tym bardziej, że dla wielkich zadań odbudowy i rekonstrukcji naszego gospodarstwa narodowego nie zdołano jeszcze należycie pozyskać naszego społeczeństwa. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że polepszenie naszej aprowizacji ściśle zależy od rozwoju naszego przemysłu kluczowego, od wydobywania węgla, produkcji żelaza i stali, że tylko w ten sposób można będzie usprawnić nasz transport — tę pięć achillesową aprowizacji, że tylko w ten sposób, dając mechaniczną siłę pociągową (traktery) i rozwijając szerokie zastosowanie nawozów sztucznych można będzie podnieść produkcję rolnictwa. Od zrozumienia tych prostych zresztą zależności gospodarczych zależy pozyskanie szerokich mas dla problemów wielkiej odbudowy gospodarczej. Dać to może jedyną istotną gwarancję rozwiązania tego problemu. Zainteresowanie mas stanowi bowiem najlepszą formę kontroli społecznej, a zarazem wytwarza atmosferę poświęceń i zrzeczeń w dziedzinie doraźnych korzyści dla dokonania wielkiego dzieła gospodarczego. Dla wykonania programu odbudowy potrzebna jest odpowiednia psychiczna postawa społeczeństwa, potrzebne jest gorzenie w masach psychiki produkcyjnej nad konsumpcyjną. Tak jak w jednostkowej gospodarce właściciel, budując dom musi oszczędzać i w sposób zdecydowany ograniczyć swoje spożycie, a więc podporządkować swoje potrzeby konsumpcyjne potrzebom produkcyjnym, tak i w gospodarce narodowej naród, chcąc dokonać wielkiej odbudowy, musi przejść przez okres trudności konsumpcyjnych.

Nie ma u nas dziś dostatecznego zrozumienia konieczności przejścia przez trudne okresy historii. Nie przerasta ono w stopniu dostatecznym nikłego zainteresowania problemami gospodarczymi z okresu niedemokratycznych rządów przedwrześniowych, gdy masy zdawały sobie sprawę, że zdobycze gospodarcze nie będą ich udziałem. Jest wręcz bolesne, że problem budowy jednego domu lub problemu budowy ośrodka przemysłowego w centralnej Polsce wywoływały zainteresowanie szersze aniżeli wielkie problemy dzisiejsze, problemy odbudowy. Dziś uwaga społeczeństwa w dużej mierze kieruje się na sprawy bieżącego zaopatrzenia. Zapomina się przy tym, że zaopatrzenie to jest tylko pochodną rozwiązaniem wielkich problemów gospodarczych.

Nie rozumie się u nas często, że zły stan aprowizacji jest zwykłym spadkiem po okresie wojny i nie stanowi cechy wyłącznie naszego kraju. Stan aprowizacji jest zły w całej Europie. I łatwo to wyczuć wszędzie: dookoła rozładowujących się statków UNRRA zbiera-

że w konsekwencji lekceważyć osłablanie zmiany ustrojowe na rzecz utopijnego postulatu opierania programów społecznych na uprzednim przekształceniu natury ludzkiej.

Tymczasem każdy karmiony mistyką zejść musi na manowce. Wiemy, że w naukach przyrodniczych sprawy sporne mają charakter zasadniczy, że dotyczą kwestii podstawowych, jak np. determinizm.

W naszych pracowniach przyrodniczych student, a nauczyciele w swej praktyce szkolnej, ulegając autorytetom, gotowi są uznać najwsteczniejsze sugestie. Tak np. przedstawia się sprawa materii organicznej. Podkreśla się u nas zakrytych tonem, godnym komentarza do stron św. Augustyna, a nie rozprawy przyrodniczej, że między materią ożywioną a ciałem martwym jest zasadnicza różnica, że jednym słowem należy odrzucić wszelki materializm na rzecz witalizmu, na rzecz teorii swoistości materii organicznej. Nawet każdy laik zrozumie, jak bliscy jesteśmy brzegu przepaści. Dobrze jest tak bawić się uczonym, których broń subtelne traktowanie kwestii. Lecz w ujęciu szkolnym jest to powrót do średniowiecza, do kultu zbyt dobrze znanych i ciężkich przesądów. I znów może jednego Dembowskiego dało by się przeciw-

stawić przeważającej większości dobrowolnych mistyków.

Wojna z przeżytkami starczej tradycji w ideologii naukowej zaczęła się już przed 1939 r. Prowadził ją jednak ludzie z pokolenia, które ponosiło największą stratę w walce z faszyzmem. Wielu z tych ludzi nie ma. Te kadry trzeba jak najszybciej odbudować. Winni w tym dopomóc wszyscy, którym leży na sercu dobro naszej nauki, szkół wyższych i młodej inteligencji.

Na uniwersytetach musi znów i to stopniowo, silniej niż do 1939 r. rozgorzeć walka ideologii naukowych. Trzeba w niej wyrobić charaktery intelektualne i otwarte głowy nowych fachowców. Trzeba zerwać z tolerowaniem myślowych przeżytków i starzyzny, sui generis ciemnoty na naszych uniwersytetach. Jeśli wszechnicie dotąd nie tylko u nas, ale wszędzie, nie tylko ostatnio, ale również na progu humanizmu czy w dobie oświecenia — opóźniały się w stosunku do postępu idei i myśli, to obecnie czas wreszcie, by w zmienionych zasadniczo warunkach społecznych i to żalosne prawo przeszłości obowiązywać. Czas, by Kollataje byli nie komisarzami rządu — a po prostu członkami senatów uniwersyteckich.

Stefan Żółkiewski

ją się głodne dzieci jugosłowiańskie, na wielkich bulwarach Paryża stukają drewniaki, w lokalach nad Tamizą kelner ściśle wydziela mikroskopijne racje cukru do kawy. Tak jest zresztą nie tylko w Europie, nawet w legendarnej pod względem zasobów dóbr Ameryce istnieje racjonowanie i system kartkowy.

Tak, odpowie zniecierpliwiony czytelnik: i u nas są kartki — tylko, że nie na nie nie dają. Istotnie wszystkie kupony mojej sierpniowej kartki stołecznej pozostały niewycięte. Zastanówmy się, co jest z naszą aprowizacją. „Kradną” — odpowie nasz czytelnik, oto przychodzi. Wielkie nagłówki w prasie, jak np.: „Znowu panama aprowizacyjna”, „Aprovizator w potrzasku”, „Nadużycia w Społem”, „Artykuły UNRRA w rękach paskarzy”, mogłyby świadczyć o tym, że rozumowania czytelnika nie są bezpodstawne.

Czy te głosy prasy są słuszne? Pewnie, że w różnych kanałach, jakimi dociera nasza aprowizacja do konsumenta, siedzi wielu szabrowników i złodziei, wyciągających kasztany z ognia. Jednak bardziej wnikliwy obserwator dostrzeże, że usunięcie tego zła to nie wszystko, że istotne przyczyny złego stanu aprowizacji leżą gdzie indziej.

Zastanówmy się chwilę. Z urzędowych danych wynika, że w Polsce przeszło 9 milionów osób otrzymuje kartki żywnościowe. Obliczymy więc zapotrzebowanie żywnościowe, opierając się na tej liczbie i biorąc za podstawę kartkę I kategorii. Nie popełnimy przy tym większego błędu, gdyż jakkolwiek istnieje pewna nieszacowna ilość kartek II i III kategorii, to z drugiej strony są dodatki do kart I kat., jak dodatek stołeczny, dodatki dla ciężko pracujących itp. Wychodząc z cyfry 9 milionów ustalamy zapotrzebowanie roczne w następujący sposób:

Miesięczne tacie:
10 kg chleba + 2 kg mąki + 2 kg kaszy, tj. 14 kg zboża. 14 kg × 9 mil. × 12 = 1.512.000 ton zboża.

Świadczenia rzeczowe mogą dać najwyżej około 1.200.000 ton. A zatem nasze Państwo nie posiada pokrycia kartkowego w zbożu, chociaż kartki są wydawane.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa pokrycia kartek w zakresie mięsa. Analogicznie obliczone zapotrzebowanie na mięso, wychodząc z głodowej racji miesięcznej 1,2 kg wynosi: 1,2 kg × 9 mil. × 12 = 129,6 tys. ton.

Na jaką ilość mięsa możemy liczyć? Wydaje się, że była by praktycznie do osiągnięcia ilość 20 — 30 tysięcy ton. Trzeba jednak zaznaczyć, że na ostatnim posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej poczyniono dale idące ograniczenia świadczeń rzeczowych w mięsie. Wzrost pogłowia powinien być w obecnej chwili największą naszą troską. Każdy kilogram ściągnięty ze wsi odbiera nam 2 lub 3 kg w roku następnym i hamuje proces restytucji pogłowia. Jeśli więc wejdziesz w życie uchwała KRN, to całe nasze zapotrzebowanie kartkowe mięsa pozostanie właściwie bez pokrycia.

Sytuacja aprowizacyjna w zakresie tłuszczów zbliżona jest do sytuacji w mięsie. Ze świadczeń rzeczowych, przy obniżeniu i tak bardzo niskiego spożycia wsi, możemy otrzy-

mać zaledwie 15 — 25% zapotrzebowania. Znowu więc pokrycie na zapotrzebowanie kartkowe nie istnieje.

Może UNRRA? Ten magiczny skrót elektryzuje masy. Czytelnicy naszej prasy z małych miasteczek, położonych w różnych częściach kraju, z oburzeniem donoszą, że nie dotarła do nich jeszcze żadna puszka konserw UNRRA. Jakże wygląda sprawa z UNRRA? Informowałem mnie, że w okresie od 15.6 do 15.9. r. b. czyli za pierwsze trzy miesiące po rozpoczęciu działalności, UNRRA dostarczyła mięsa (w tej liczbie i ryb) 4,7 tys. ton, tłuszczów (smalcu i słoniny) 7,3 tys. ton. Cyfry te stanowią w mięsie ok. 6%, w tłuszczu około 7% naszego zapotrzebowania rocznego i na razie mogą zaspokoić potrzeby jedynie paru ośrodków miejskich, znajdujących się w najcięższym położeniu, jak Śląsk, Łódź i Warszawa. I mimo że dostawy UNRRA wzrastają będą z miesiąca na miesiąc pokryją tylko część naszego zapotrzebowania.

Z przytoczonego bilansu żywnościowego wynika, że nasza kartka żywnościowa jest kartką fikcyjną. Z fikcją tą trzeba zerwać. Trzeba wydawać taką ilość kartek, która by odpowiadała ilości produktów, będących w dyspozycji Rządu, trzeba pracującemu dać taką kartkę, na którą mógłby on niezawodnie liczyć. Takie uporządkowanie systemu kartkowego nie tylko zmniejszyłoby słuszne rozgorzenie zawiądanego posiadacza niepokrytej kartki żywnościowej, ale również wywarłoby korzystny wpływ na politykę płac pracowniczych, która nie może kształtować się prawidłowo przy ciągle nieuchwytnych rozmiarach zaopatrzenia kartkowego. Wprowadzenie kartek niesfikcyjnych, mających pokrycie, ułatwi kontrolę konsumentów nad aparatem administracyjnym i powstrzyma samowolę administracji aprowizacyjnej, która ma w tej chwili możliwość dowolnego przyznawania zaopatrzenia tym lub innym kategoriom posiadaczy kartek.

Uporządkowanie sprawy zaopatrzenia kartkowego nie jest oczywiście rozwiązaniem trudności aprowizacyjnych. Rozjaśni jednak nasze stosunki gospodarcze. Ważne jest przy tym zwrócenie uwagi na pewną specjalną stronę naszego systemu aprowizacyjnego. Różni się on zasadniczo od systemu przyjętego w innych krajach Europy. Nie ma u nas pojęcia „dobra zagospodarowanego”, tj. towaru, który by w całości poddany był reglamentacji i w całości rozdzielany według reguł określonych przez Państwo. Weźmy np. zboże. Jeśli szacować teoretyczną produkcję zboża na ok. 4 — 5 mil. ton i jeśli w ramach świadczeń rzeczowych wieś ma dostarczyć około 1.200.000 ton, czyli około 1/4 produkcji, to pozostałe 3/4 są pozostawione swobodnemu rozdziałowi. Oczywiście z tych 3/4 przeważająca część pójdzie na zaspokojenie wewnętrzne wsi, niemniej pozostanie pewna nadwyżka towarowa, która wypływa na tzw. „wolny rynek”, stanowiący uzupełniające źródło zaopatrzenia ludności miejskiej. Również znajdują się na tym rynku pewne ilości mięsa i tłuszczu nie objęte świadczeniami rzeczowymi, a wyzucane przez naszą wieś na rynek w celu zdobycia artykułów przemysłowych. Przyjęty u nas system reglamenta-

cji ma na celu stworzenie dodatkowych bodźców produkcyjnych u gospodarzy wiejskich przez danie im możliwości swobodnego dysponowania nadwyżkami, pozostałymi po wypełnieniu świadczeń rzeczowych. Wadą tego systemu jest ogromna nierównomierność rozdziału deficytowych towarów. Za pieniądze można nabyć tłuszczu czy cukru w nieograniczonych praktycznie ilościach, podczas gdy w systemie „zagospodarowanych dóbr” każdy otrzymuje ściśle wymierzoną ilość produktów. Można różnie oceniać wartość tych systemów, trzeba jednak zdać sobie sprawę, że system „zagospodarowanych dóbr” wymaga bardzo sprawnej administracji i w naszych warunkach byłby nie do urzeczywistnienia.

Istnienie wolnego rynku zwalnia Państwo od obowiązku zaspokajania potrzeb ogółu obywateli w drodze kartek. Daje to możliwość ograniczenia ilości wydawanych kartek. Komu należy przyznawać kartki? Naszym zdaniem tylko tym, których płaca faktycznie będzie się kształtować według stawek reglamentowanych, to jest przez państwo ustalonych. Ograniczając w ten sposób liczbę kartek — ograniczymy zapotrzebowanie i potrafiemy dostosować je do ilości produktów, jakie będziemy otrzymywać ze świadczeń rzeczowych i z pomocy UNRRA. Jeżeli w tym lub innym artykule powstały luki, powinno się uzupełniać je w drodze zakupu z wolnego rynku; środków na zakup dostarczyć musiałby nasz Skarb, czerpiąc je z zysków przemysłu. Musimy bowiem pamiętać, że nasza aprowizacja jest podstawą rentowności przemysłu, który kształtuje swe ceny sprzedażne na znacznie wyższym poziomie niżeli kształtują się stawki reglamentowanych plac.

Jeśli mówiliśmy o przyznawaniu zaopatrzenia kartkowego tylko osobom, których płace faktycznie odpowiadają stawkom reglamentowanym, to mieliśmy na myśli zagadnienie tzw. deputatów. Praktyka przyznawania deputatów wyrasta z niewypelnienia przez Państwo zobowiązań kartkowych. Przedsiębiorstwa starają się zaradzić brakowi aprowizacji przez przyznawanie pracownikom pewnej ilości swojej produkcji w celu umożliwienia im sprzedaży tych towarów i nabycia w zamian artykułów konsumpcyjnych. System ten jest niesłychanie kosztowny z punktu widzenia społecznego czasu pracy, bo pracownicy tracąc muszą czas na sprzedaż otrzymanych artykułów. Czerpie ponadto z tego dodatkowe zyski spekulacja. Nicco lepiej wygląda sprawa tam, gdzie przedsiębiorstwa same realizują deputaty i zakupują żywność dla rządu wórnó pracujących. W różnych gałęziach przemysłu, handlu i administracji deputaty różnie wyglądają. Często są nieznane i nie zrozumiałe powody, dla których w jednych dziedzinach są one większe, a w innych mniejsze. Wywołuje to ciągle nieporozumienia, ciągle zabiegania o lepsze deputaty, a przede wszystkim zupełnie wypacza politykę plac.

Nominalna płaca robotnicza staje się w ten sposób często nic nie znaczącym dodatkiem do deputatów, które są zasadniczą podstawą realnej płacy zarobkowej. Przepisy reglamentujące płace, nieraz szeroko i kunsztownie u nas rozbudowane, stają się w ten sposób fikcją. Nasze centralne organizacje zawodowe zbyt mało poświęcają uwagi tej sprawie, a przeciw istnieniu deputatów i plynąca stąd nierównomierność realnych plac robotniczych w różnych gałęziach produkcji godzi w jedność świata pracy, rozбивa solidarność klasy robotniczej. Bardziej słuszne stanowisko zajęło wiele przedsiębiorstw przemysłu ciężkiego, gdzie zamiast deputatów zagwarantowano robotnikom pełne zaopatrzenie kartkowe w postaci zakupów z wolnego rynku produktów nie wydawanych na kartki. Ale i to jest tylko połowicznym załatwieniem sprawy, gdyż zmusza się w ten sposób przedsiębiorstwa przemysłowe do prowadzenia akcji zamiennych swojej produkcji na artykuły konsumpcyjne ze stratą czasu i inicjatywy dla

swych właściwych zadań. Wydaje się, że tylko zakup scentralizowany mógłby właściwie rozwiązać tę sprawę.

Wydoby to oczywiście nie zmierny do jakiegokolwiek obniżenia realnej płacy pracujących. Chodzi tylko o to, by płace nasze nie były ukrywane w postaci deputatów i żeby na tym tle nie było pola do nadużyć. Chodzi o to, by stawki plac pracowniczych, starannie opracowywane przez państwo przy współudziale związków zawodowych, przestały być czystą fikcją lub nieistotnym dodatkiem do zupełnie odmiennie kształtujących się plac realnych.

Uporządkowanie systemu kartkowego i sprawy deputatów, to tylko pokonanie części trudności aprowizacyjnych i to części mniej istotnej, choć niezmiernie ważnej dla uporządkowania i kontroli społecznej w tej dziedzinie.

Usunięcie trudności aprowizacyjnych zależy u nas w dużej mierze od rozwiązania zagadnienia tzw. wolnego rynku. Chodzi o to, by zachęcić naszą wieś do produkcji coraz to większych nadwyżek i dostarczania tych nadwyżek do miast. Samo uporządkowanie rynku wolnego środkami tzw. policji przemysłowej, to jest regulowaniem cen, ściąganiem spekulacji itp. nie da istotnego wyniku. Trzeba przedtem ustroić podstawy tego rynku: osiągnięcie przez nasze gospodarstwa chłopskie nadwyżek w produkcji rolnej oraz osiągnięcie przez miasta nadwyżek produkcji przemysłowej, przeznaczonych do zamiany na nadwyżki rolne. Dochodzimy do zdawało by się zupełnie prostych, jednak niedostatecznie popularnych stwierdzeń, że rozwiązanie sytuacji aprowizacyjnej zależy od podniesienia produkcji naszego rolnictwa, a to jest w znacznej części uzależnione od produkcji naszego przemysłu i od rozwoju transportu. Zainteresowanie naszego społeczeństwa problemem produkcji, wytworzenie atmosfery ułatwiającej produkcję, skierowanie uwagi naszej prasy na zwalczanie czynników hamujących produkcję na wsi i w mieście, oto prawdziwe i skuteczne środki podniesienia naszej aprowizacji.

M. Biernacki

POLITYKA

PSL

Na wszystkich ulicach Warszawy widnieją białe plachty: plakaty PSL. Wiele słusznych sformułowań. Kilka nieporozumień, dla mniej wprawnych oka niemal niedostrzegalnych zastrzeżeń i zastrzeżeń. W podpisach: na pierwszym miejscu nazwisko Wincentego Witosa. Zdawało by się — wszystko w porządku.

A jednak... Charakterystyczna jest reakcja na te odczyty.

W knajpkach warszawskich, gdzie gromadzą się „rozparcelowani” hrabiowie, dotąd marzący bodaj o „skromnej” 50-cio hektarowej resztówce, i fabrykanci wszech wyznań, dotąd nie tracący nadziei na reprivatyzację swego „warsztatu (cudzej — przyp. zecera) pracy” — odczyta PSL spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Warszawa pracy przyjęła zapewnienia PSL-u z wyraźną niewolnością.

Dlaczego? Jakże są przyczyny tej tak różnej, a jednak w istocie rzeczy — W OCENIE ZJAWISKA — zgodnej reakcji?

Przyczyn takich jest niewątpliwie kilka. Przede wszystkim: PSL oznacza ROZŁAM w ruchu ludowym, ROZŁAM w jednym z podstawowych kierunków demokracji polskiej. Tymczasem — jeśli coś odpowiada w tej chwili najgłębszym dążeniom „szarego człowieka”, jeśli coś odpowiada interesom Polski i interesom demokracji polskiej — to jest to właśnie JEDNOŚĆ, jedność wewnątrz poszczególnych kierunków demokratycznych i jedność całego obozu demokracji polskiej.

Reakcja pamięta dobrze, że rozłam i walki wewnętrzne w ruchu ludowym (rozłam spowodowany — warto o tym tu przypomnieć! — fatalną, łachciorońską paniką, polityką „Chjenościastą”) osłabiły siły demokracji, ułatwiły klęskę pilsudczykowskiej przygotowanej przewrota majowego. Dlatego reakcja wita radośnie rozłam w ruchu ludowym. Elementy demokratyczne zdają sobie sprawę z faktu, że rozłam OSŁABIA ruch ludowy, utrudnia walkę o zakończenie wielkiego dzieła budownictwa demokratycznej Polski.

Moment drugi — to moment stosunku do polityki ostatnich lat. Obóz reakcyjny zauważył dobrze w pierwszym komunikacie PSL aprobatę polityki wicepremiera Mikołajczyka

w okresie przed jego wstąpieniem do Rządu Jedności Narodowej i aprobatę polityki kierownictwa „londyńskiego” odłamu ludowców w kraju. Obóz reakcji wie dobrze, jaka była treść tej polityki: bezustanna kapitulacja przed reakcją, przed Sosnkowskim i Raczkiewiczem. Reakcja wie, że to kapitulstwo wobec reakcji, jakie było tak charakterystyczne dla polityki dzisiejszych przywódców PSL w ciągu ostatnich lat, pozostanie i nadal podstawową cechą ich linii politycznej.

Bywają sytuacje, kiedy — nawet wbrew jej woli — prawica obozu demokratycznego staje się ośrodkiem koncentracyjnym wszystkich bez wyjątku elementów antydemokratycznych, kiedy staje się ona narzędziem, którym siły reakcji posługują się dla walki przeciw samej istocie demokracji.

Taka właśnie sytuacja wytworzyła się teraz w Polsce.

Bankructwo NSZ-owsko-sanacyjnego terrorystycznego podziemia staje się już dziś jasne dla wszystkich. Zbankrutowały próby zmobilizowania mas dla akcji antydemokratycznej — minęły wszystkie, pantoflowe początki wyznaczone terminy „powstań” i „wystąpień zbrojnych”. Garstka bandytów wystarcza dla strzelania z za węgla, ale nie stać ją na nic więcej. Zbankrutowały wszystkie rachuby zagraniczno — polityczne reakcji. Minęły wszystkie terminy zapowiadanej „trzeciej wojny” — a współpraca mocarstw mimo wszystkich tarć i różnic zdań trwa nadal i rozwija się. Wszystko to sprawia, że na razie na czas najbliższy akcja terrorystyczna reakcji traci dla niej samej to pierwszorzędne znaczenie, jakie miała jeszcze do niedawna. Nic znaczy to, by tak miało być na zawsze. Reakcja nie wydała większości swej broni; zakupiła tylko automaty, dobrze je przedtem naoliwiwszy. Lecz fakt, że MUSIAŁA je zakupić, świadczy, że na tym odcinku poniosła ona porażkę i że z tej porażki zdaje sobie sprawę.

Ale właśnie dlatego reakcja wyjęła wszystkie siły, aby odrobić tę porażkę, aby „odkuś się” na drugim, legalnym froncie. Reakcja nie zrezygnuje z walki o władzę w Polsce. Nie może ona z niej zrezygnować — bo reakcja nasza to nie tylko kilka kandydatów na wielmożów, urządzających się teraz w szkockich zamkach i na kanadyjskich fermach, lecz także — i przede wszystkim — przedstawicielstwo określonych klas społecznych: obszarnictwa i wielkiego, finansowego kapitału, które demokracja polska skazuje na zgubę. Żadna klasa panująca nie ustąpiła z widowni bez rozpaczliwej walki, bez walki na śmierć i życie. I nasza reakcja nie myśli pogodzić się z własną śmiercią.

Mniejsza z tym, że w okresie władzy sanacji poszczególne przywódce PSL występowali przeciw sanacji, mniejsza z tym, że niewątpliwie między jądrem sanacji a przywódcami PSL istnieją takie czy inne różnice. Ważne jest tylko jedno, że ci przywódcy stają się w tej chwili ośrodkiem rozłamu w obozie demokracji, że ich polityka przeciwstawia siły polityzacji całego obozu demokratycznego. To wystarczy. To wystarczy, aby podziemne szmatki NSZ-owskie pisali wręcz „Mamy zaufanie do Mikołajczyka”. To wystarczy, aby do PSL napływało wszystko, co jest przeciw demokracji, co jest przeciw ludowej Polsce — od oenerowców poczynając a na sanatorach kończąc. I — jak dotąd — nie widać, aby PSL miało zamiar zamknąć swe drzwi przed tymi gośćmi, którzy z ruchem ludowym, z ideologią ludową nie mieli nigdy i nie mają dziś niczego wspólnego. Przeciwnie: sądząc podług tego, co dzieje się w terenie, należy raczej sądzić, że niektorzy przywódcy i działacze PSL na ten napływ kocz i na nim chcą się opierać. Inaczej — jak można by objaśnić taki skandal, że poznański organ PSL nawołuje do bojkotu świadczeń obywatelskich, uchwalonych przecież przy udziale ministrów — członków PSL — i że PSL nie uważa za potrzebne negocjować w jakiegokolwiek formie na takie nawoływanie swego pisma.

Grupa, która stworzyła PSL miała przed sobą wielką szansę. Mogła stać się grupą, która by przeprowadziła na grunt rzeczywistości polskiej, na grunt demokratycznego państwa polskiego dziesiątki tysięcy ludzi dotąd błądzących po „londyńskich manowcach”.

Trudno. Proces otrzeźwienia, proces wyzolenia się spod wpływów reakcji, jaki rozpoczął się wśród jej wczorajszych zwolenników, ma zbyt głębokie przyczyny, aby mogły go na stałe zatrzymać manewry nawet bardzo zręcznych i wpływowych polityków. Jego podstawą jest rzeczywistość polska, ta rzeczywistość, która już rozbiła i unicestwiła wszystkie rachuby Raczkiewiczów i Sosnkowskich. Ta rzeczywistość zwycięży i teraz. A jeśli przywódcy PSL zechcą się jej przeciwstawić — tym gorzej dla nich.

erkawu

Hitlerowcy w Dąbrowie Górniczej

To było w r. 1938. Wtedy to w gazetkach pojawiły się fotografie żydowskich paszportów w Trzeciej Rzeszy. Zwykle, niemieckie paszporty z czarną pieczętką „J” — „Jude”. Kreciliśmy wtedy głowami, patrząc na te paszporty: „Faszystowskie barbarzyństwo”.

Okręgowe Biuro Pośrednictwa Pracy tłumaczy ten oryginalny sposób stemplowania swych poświadczzeń „względami technicznymi” przy rejestracji. O jakie względy techniczne chodzi? O ile nam wiadomo, nie ma żadnych różnic w przepisach rejestracyjnych dotyczących obywateli Żydów, a nie-Żydów. O ile wiemy, w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej obowiązują te same, co w całym państwie przepisy, przewidujące całkowite równouprawnienie obywateli — Żydów. A może chodzi tu o względy techniczne, zgola nieurzędowe? Może chodzi tu o ułatwienie bandytom NSZ-owskim ze-



SPROSTOWANIE

W artykule Bolesława Dudzińskiego p. t. „Polityka prasowa hitlerizmu podczas okupacji”, wydrukowanym w Nr 4-5 „Kuźnicy”, zniekształcony został na str. 39, I am II, ustęp czwarty od góry. Ma on brzmienie jak następuje: „Numer legalnej gazety w wydrukowanym w niej obwieszczeniem urzędowym o rozstrzelaniu tyłu a tyłu ludzi jest, niewątpliwie, dokumentem obciążającym, dającym się przechować łatwo i bez niebezpieczeństwa dla posiadacza. Natomiast zerwanie takiego obwieszczenia z ulicznego muru czy parkanu, lub sfotografowanie celem utrwalenia — to już rzecz nierównie trudniejsza i w konsekwencjach dla sprawy bardzo ryzykowna.

giej strony wiemy, że te paszporty oznaczały wstęp do nowych, dalszych zbiorów, że były one zapowiedzią Majdanów i Oświęcimów. Nie ma już dzisiaj Trzeciej Rzeszy. Nie wiadomo, co się stało z Hitlerem. Zażył trucinę Goebbels i Himmler. I oto paszporty żydowskie pojawiają się znowu. W demokratycznej, odrodzonej Polsce.

Bądźmy ściśli. Nie chodzi o paszporty. Chodzi o zaświadczenia Okręgowego Biura Pośrednictwa Pracy w Dąbrowie Górniczej. Leży oto przed nami dokument: zaświadczenie Nr 102466, wydane 3 lipca 1945 r. W miesiącu po tajemniczym zniknięciu Adolfa Hitlera. I oto na tym poświadczaniu obok polskiej pieczęci Zarządu Miejskiego Dąbrowy Górniczej widnieje okrągła pieczęćka „Z” — Żyd.

stawienia spisu obywateli — Żydów dla wiadomych, aż nadto wiadomych celów?

Zarty na bok!

Pytamy Ministra Pracy i Opieki Społecznej, Jak nazywają się odpowiedzialni za ten nieśliczny, hitlerowski skandal w polskim, państwowym urzędzie?

Czy zostali oni pociągnięci do odpowiedzialności i jaką wymierzono im karę?

Jakie zarządzenia wydano, aby uniemożliwić im raz na zawsze przedostanie się do jakiegokolwiek ogniska naszego aparatu państwowego?

Dla hitlerowców w Polsce w służbie państwowej miejsca być nie może. Dla hitlerowców w Polsce jest miejsce tylko w kryminale.

W części poprzedniego numeru (6) „Kuźnicy” przy wierszach „Do”, „Pamięć” nie zostało wydrukowane nazwisko autorki Marii Castellatti.

JAN KOTT

PRZED ZWYCIĘSTWEM ZDROWEGO ROZSĄDKU

Zastanawiająca, ba! nawet zastraszająca jest mialkość naszej dotychczasowej dyskusji o zmianie prawa małżeńskiego. To czy się ona wyłączenie dookoła dwóch spraw: ślubów cywilnych i rozwodów. Walka o śluby cywilne rzeczywiście roznamiętniała umysły w całej niemal Europie, ale było to... dobre stó lat temu, stąd nie dziwnego, że argument, nawet najbardziej postępowych zwolenników reformy tracą mocno starzyzną. Co do rozwodów — rzecz jest od początku oparta na grubym nieporozumieniu. W wielu pismach profesorowie uniwersytetu lub przekupki (stosownie do ambicji redaktora) wypowiadają się dziś za lub przeciw rozwodom. Tymczasem nie było i nie ma prawa małżeńskiego, z kodeksem kanonicznym włącznie, które by nie przewidywało rozerwania małżeństwa. Jaki! — krzykną katolicy — Kościół nie uznaje przecież rozwodów. Tak, ale uznaje za to unieważnienie małżeństwa. Spróbujmy się porozumieć! Pomiedzy unieważnieniem małżeństwa a rozwodem różnica są bardzo wielkie, ale tylko... w teorii. Unieważnienie tworzy wygodną fikcję, nieistnienia małżeństwa od początku i tym sposobem pozwala Kościołowi bronić „nierozwielnej rozerwalności”. Dla prawników różnica sprowadza się do nieco odmiennych skutków cywilnych. A dla zwykłego człowieka? Dla małżeństwa, które pragnie się rozjechać, cała różnica sprowadza się do tego, że zamiast powoływać się na prawdziwe i rzeczywiste przyczyny, uzasadniające rozwód, musi ono sobie przy pomocy przy pomocy dobrze płatnych specjalistów z Kurii, że nie wszystkie święce paliły się na ołtarzu podczas ślubu, że coś tam ze świadkami było nie w porządku lub w najgorszym razie odkryć nie spodzianie, że mąż jest impotentem, a żona dziewicą (oczywiście konsystorską!). Jedyne istotne różnice pomiędzy unieważnieniem małżeństwa a rozwodem, to koszty.

Stąd jeśli dyskusja w sprawie rozwodów przynieść ma jakiś pożytek, toczyć się musi nie o samą zasadę rozerwalności małżeństwa, bo ta jest bezsporna, ale o wybór rozsądnych i najbardziej celowych społecznie warunków, które by umożliwiły rozerwanie się dwojga ludzi bez krzywdy dzieci. Dyskusja taka nie może się jednak toczyć w próżni. Wymaga argumentów, wymaga znajomości zarówno dotychczasowego prawa małżeńskiego jak i nowego projektu. Tymczasem o tym nowym projekcie głucho. Wszyscy, i przeciwnicy, i zwolennicy biorą wodę w usta i ani się zająką o szczegółach projektowanego prawa. A rzecz naprawdę warta jest dyskusji. Ze wszystkich aktów stanu cywilnego jedynie małżeństwo zawieramy w pozycji stojącej lub kłęczącej, przy aktach zgonu i narodzin asystujemy na leżących i niewiele nas one wtedy obchodzą. A poza tym prawo małżeńskie, to przecież nie tylko sprawa formy ślubu i rozwodów. To również stosunki materialne między małżonkami, to opieka i władza nad dziećmi. Żadna inna dziedzina prawa nie sięga tak głęboko w nasze życie codzienne. I kiedy przeczucam kartki obowiązującego dziś jeszcze prawa małżeńskiego z roku 1836, kodeksu kanonicznego i nowego projektu, wydaje mi się, że czytam spis rozdziałów pasjonującej książki o historii obyczajów. I to książki świetnie napisanej. Zaczyna się ona od rozdziału o intercyzach, kończy na prawie hipotecznym i spadkach. Jeden Balzak potrafił napisać glosy do paru rozdziałów tej książki.

Ale wracajmy do nowego projektu. Uwaga! Zaczynamy od początku. A na początku były zaręczyny. Artykuł 1, § 1: „Nie można wnieść powództwa o zawarcie małżeństwa z tytułu zaręczyn”. I tutaj może warto zaznaczyć jak bardzo obecnie wyszła z użycia instytucja narzeczeństwa, a zwłaszcza oficjalnego narzeczeństwa. I to nie tylko w kręgu inteligencji, ale nawet wśród drobniomieszczan. Uroczyste zaręczyny giną niepowrotnie razem z epoką, w której zawierano przed rejentem intercyzę, panna młoda otrzymywała wyprawę, kupowano dla nowożeńców sypialnię małżeńską, a w podróz poślubną udawano się za granicę. „Naręczony — mówiła mi nie dawno jedna z moich znajomych — to brzmi... nieprzyzwoicie”. Co to właściwie znaczy naręczony?...

Powróćmy jednak do kodeksu. Na wypadek zerwania zaręczyn nowy projekt przewiduje jedynie zwrot podarków i odszkodowania za straty, spowodowane „zasadniczymi przygotowaniem do zawarcia małżeństwa”. W prawie z r. 1836 mieliśmy ponadto przepis, że jeżeli niewiasta zasła w ciąży z mężczyzną, który po zaręczynach wzbrania się zawrzeć małże-

stwo, zaręczony ulegnie karom w kodeksie karnym postanowionym, a nadto obowiązany będzie dostarczać w każdym przypadku alimentu dziecku, niewieście zaś tylko, gdyby nie miała własnego dostatecznego utrzymania”. Postanowienie o ukaraniu naręczonego zostało już dawniej uchylone milcząc przez nowy kodeks karny, który nie uważa za przestępstwo „dokonywanie czynów nierządnych” z naręczoną. Nie ma w nowym projekcie przepisu o alimentach, ponieważ stał się on niepotrzebny, z chwilą ustanowienia ogólnej odpowiedzialności mężczyzny wobec każdej kobiety, z którą miał dziecko.

Aby małżeństwo zostało ważne zawarte, nowy projekt wymaga dopełnienia trzech warunków: prawnej zdolności do zawarcia małżeństwa, braku przeszkód i zgodnego oświadczenia woli w sposób przewidziany prawem.

Jako granicę wieku, projekt ustanawia jednolicie dla mężczyzny i kobiety ukończenie lat 18-tu. Młodszym musi na małżeństwo „z ważnych powodów zezwolić władza opiekuńcza”. Stare prawo pozwalało na ślub bez zezwolenia rodziców dopiero pełnoletnim. Poza tym żądało „zezwoienia zwierzchniej komendy dla wojskowych”. Władze wojskowe sprzed 1939 roku zezwalały na ślub oficerom jedynie pod warunkiem przedstawienia dowodów dobrego prowadzenia się panny młodej i... dostatecznego posagu. To także należy do przeszłości.

Niezmienne charakterystyczne dla każdego ustawodawstwa są artykuły, wyliczające przeszkody zabraniające zawarcia małżeństwa. Kodeks z roku 1836 na pierwszym miejscu stawia różnicę religii. Katolik nie może prawnie poślubić niechrześcijanina, Żyd nie może się żenić z katoliczką. Tylko małżeństwa osób, należących do różnych wyznań chrześcijańskich są tolerowane. Druga przeszkoda — to „wielonośność”. Oczywiście nie dotyczy to wdów i wdowców. Tutaj nawet prawo kanoniczne jest „liberalne”. Kanon 1142 głosi bowiem, że „wprawdzie czyste wdowieństwo jest bardziej zaszczytne, jednak drugie i następane małżeństwa są ważne i dozwolone”. Dalej przeszkoda są śluby zakonne i wyższe święcenia. Ksiądz, który porzucił służbę duchową, zakonnik, który opuścił klasztor, do końca życia według obowiązującego ciągle jeszcze u nas ustawodawstwa nie mają prawa zawrzeć ważnego małżeństwa. Żadnej litości dla buntowników. Niech cierpią!

W nowym projekcie prawa małżeńskiego już ten średnio-wieczny paragraf nie istnieje. Znikną również, rzecz prosta, zakaz małżeństw pomiędzy ludźmi należącymi do różnych wyznań. Kodeks przeprowadza konsekwentnie zasadę jednolitości prawa małżeńskiego, tak jak jednolite dla wszystkich są zasady powszechnego obowiązku służby wojskowej, ustawodawstwo podatkowe czy odpowiedzialności karna za przestępstwo. Następnie, w porównaniu z prawem z roku 1836, uległ złagodzeniu zakaz małżeństw między dalszymi krewnymi i powinowatymi. Zakazane jest jedynie małżeństwo pomiędzy krewnymi i powinowatymi w linii prostej (dzieci, rodzice, dziadkowie) oraz rodzeństwem.

Wprowadza natomiast projekt przeszkodę, której nie znano stare prawo. Zakazuje zawarcia małżeństwa pomiędzy osobami, z których choćby jedna dotknięta jest chorobą psychiczną, nawet w okresie przytomności umysłu, niedorozwojem psychicznym, albo otwartą gruźlicą lub chorobą weneryczną w stanie zaraźliwym. Przed ślubem narzeczeni będą obowiązani przedstawić świadectwo lekarskie. Przepis ten nie wszędzie ma obowiązywać od razu. Licząc się z warunkami, jakie panują na polskiej wsi, pozbawionej lekarza, Ministerstwo Sprawiedliwości w porozumieniu z Ministerstwem Zdrowia ustali terminy, w jakich obowiązek ten zostanie wprowadzony na poszczególnych obszarach Państwa. Nie termin jest ważny. Ważne jest uczynienie ogromnego kroku naprzód dla podniesienia zdrowotności powszechnej. Ważne jest spojrzenie na małżeństwo, jako na instytucję z tego świata, której głównym zadaniem jest wychowanie zdrowych dzieci. Ważne jest, że ustawodawca uczynił wszystko, co możliwe, aby nie dopuścić do rodzenia się dzieci obciążonych dziedzicznie. Ci sami, którzy powołując się na interes narodu, zarzucają projektodawcom nowego prawa, że chcą zniszczyć rodzinę — komórkę społeczną — bronić będą w imię nienaruszalnych swobód jednostki prawa do rozmnażania się syfilityków i wariatów.

Prawną istotę ślubu stanowi zgodne oświadczenie woli zawarcia małżeństwa.

Oświadczenie to nie może być dokonane pod wpływem błędu lub pod przymusem. Błąd i przymus — w tych dwóch niewinnych słowach kryły się najbardziej podstępnie przepisy dawnego prawa małżeńskiego. Tutaj znalazła swoje schronienie cała kazuistyka kanoniczna, pozwalająca na unieważnienie każdego najpoczwierniej zawartego małżeństwa. Błąd może być bowiem „co do osoby”, na przykład pan młody niedowidzi i nie zauważył z kim się żeni, ale błąd może być również „co do właściwości osoby”. Panna młoda myślała, że się żeni z księciem i pod tym tylko warunkiem (*reservatio mentalis*) zgodziła się na ślub, a tymczasem okazało się, że pan młody jest tylko markizem. Oto kanon 1083 kodeksu kanonicznego z roku 1917 stanowi, że błąd co do właściwości osoby, „unieważnia małżeństwo, jeżeli osoba wolna zawiera je z osobą, którą uważa za wolną, podczas gdy ta jest niewolnikiem w ścisłym znaczeniu niewolnictwa”. Sądzę, że na podstawie tego kanonu mogłyby zostać unieważnione wszystkie małżeństwa, zawarte w Generalnej Guberni.

Artykuły o przymusie przenoszą nas znowu w romantyczne czasy zajazdów i zbrojnych porywań białogłówn. Oto obowiązujące u nas jeszcze prawo głosi: „Niewiasta porwana nie może zezwalać ważnie na związek małżeński z tym, który ją porwał, dopóki w jego znajduje się moc”. Chciałbym zobaczyć ów „raptus puellae” wobec naszych fizylietek, zbrojnych w parocelowe parabellum. Raczej może przydałby się przepis odwrotny, który by bronił praw porwanego mężczyzny. Nowe prawo nie zna oczywiście ani owych scholastycznych subtelnosci, pozwalających białe nazywać czarnym, ani też archaizmów z epoki średniowiecza lub... filmów amerykańskich.

Nowy projekt wprowadza na całym obszarze Państwa Polskiego śluby cywilne. Dopełnienie obrzędu ślubu religijnego może nastąpić jedynie po uprzednim przedłożeniu duchownemu zaświadczenia urzędnika stanu cywilnego o zawarciu małżeństwa. Jedynie małżeństwo zawarte przed urzędnikiem stanu cywilnego ma skutki prawne w obliczu państwa. Odąd ślub religijny stanie się jak na całym świecie, jak dotychczas w byłym zaborze niemieckim, sprawą dobrej woli i wewnętrzznego przekonania. Prawa wierzących do wypełnienia obowiązków, jakie nakazuje im religia, nie są w niczym przez nowy projekt naruszane.

A dalej: oboje małżonkowie obowiązani są do wspólnego pożycia, wierności, pomocy i współdziałania dla dobra rodziny, którą przez swój związek założyli. Każdy z małżonków obowiązany jest przyczynić się do ponoszenia ciężarów i utrzymania wspólnego gospodarstwa, do wychowania dzieci oraz do zaspokojenia potrzeb osobistych drugiego małżonka.

Kodeks przeprowadza konsekwentnie zasadę równości praw i obowiązków męża i żony. Zamiast przepisu dawnego prawa, iż „małżeństwo ze szlachcicem nadaje szlachectwo niewieście stanu nieszlacheckiego”, mamy prawne „novum”, pozwalające żonie zatrzymać nazwisko panienskie obok nazwiska męża.

Przechodzimy do rozdziału o unieważnieniu małżeństwa i rozwodzie. Unieważnienia domagać się może każdy z małżonków, a w pewnych wypadkach i prokurator. I tutaj jeden punkt jest niezmiernie interesujący. Zasadniczą i pierwszą przeszkodą zabraniającą zawarcia małżeństwa jest oczywiście trwanie poprzedniego związku małżeńskiego. Co się jednak dzieje, jeżeli bigamia została popełniona, jeżeli drugie małżeństwo zostało zawarte, chociaż pierwsze trwa nadal. Otóż to drugie małżeństwo, w przeciwieństwie do dawnego kodeksu, nie jest według nowego projektu, z samego prawa, niejako automatycznie nieważne. O unieważnienie drugiego małżeństwa w wypadkach bigamii wystąpić może każda ze stron albo prokurator. Wystąpić może, ale nie musi! A jeżeli nie wystąpi? Jeżeli nie wystąpi, drugie małżeństwo nadal pozostaje ważne (nie wyłącza to, rzecz prosta, karalności bigamii, przewidzianej przez kodeks karny). I oto pozostają ważne oba małżeństwa, bo przecież pierwsze przez fakt zawarcia drugiego, nie zostaje „oczywiście rozwiązane”. Nowy projekt dopuszcza więc fakultatywne współistnienie dwóch ważnych małżeństw. Na pierwszy rzut oka wydaje się to rzeczą niezmiernie dziwną i nawet oburzającą. Zastanówmy się jednak spokojnie. Nie ma najmniejszego powodu do zamydlenia oczu. Podczas 6-ciu lat okupacji setki, jeśli nie tysiące ludzi popełniło bigamię. Popelnili ją korzystając z rozpowszechnienia fałszywych dokumentów,

popelnili ją wskutek spalania się urzędów metrykalnych, popelnili często nawet w dobrej wierze (nie usprawiedliwiamy, ale i nie bawmy się w Katonów), wierząc, że druga strona nie żyje. Sześć lat — to smutak czasu. A wiemy dobrze, że przeprowadzenie postępowania, uznającego osobę zaginioną za zmarłą, było w warunkach okupacyjnych praktycznie niemożliwe. Dziś wiele z tych osób odnajduje się i powraca. Bigamia, popełniona w czasie wojny, pozostanie w praktyce wobec działania ustawy amnestyjnej, nie karana. Ciężka to sprawa dla sądu i ustawodawcy. Co robić? Dawne prawo uznawało za ważne jedynie pierwsze małżeństwo, ba! stanowiło nawet że „osoba, która stała się winną wielonośności nie może nawet po śmierci pierwszego małżonka zawierać ślubu ze współsprawcą popełnionego przez nią małżeństwa”. Dzisiaj dalsze utrzymanie tego przepisu byłoby rzeczą okrutną i nierozsądną. Przyczyniłoby się do unieszcześliwienia trojga osób. Rygorystyczne stosowanie prawa to po prostu — mąż do kryminału, a dwie kobiety niech się męczą! Nowe prawo rozwiązuje te sprawy w sposób pełny życiowego rozsądku i wolny od abstrakcyjnego formalizmu etywnych przepisów. Projekt pozwala bowiem trzem osobom, zaplątanym zdawało by się w sytuację bez wyjścia, użyć swoje życie, tak jak sami uważają za słuszne. Mogą bowiem — albo wystąpić o unieważnienie drugiego małżeństwa, albo żądać orzeczenia rozwodu dla pierwszego małżeństwa.

I to ostatnie wyjście może okazać się dla samych najmniej krzywdzące. Warto tutaj zresztą przypomnieć, że państwowa ustawa emerytalna, wydana na parę lat przed wojną, przewidywała podział emerytury po zmarłym urzędniku państwowym wyznania mahometañskiego pomiędzy wszystkie jego żony, na wypadek, gdyby miał ich kilka.

Obok ślubów cywilnych największe zainteresowanie budzi w nowym projekcie sprawa rozwodów. Nowa ustawa dopuszcza rozwód na żądanie jednego z małżonków, o ile sąd uzna, że względ na dobro niepełnoletnich dzieci nie stoi temu na przeszkodzie, oraz jeżeli stwierdził stały rozkład pożycia małżeńskiego. Wśród przyczyn rozwodu, które projekt uważa za dostatecznie ważne, warto przytoczyć zwłaszcza, odmowę dostarczania środków na utrzymanie rodziny, popełnienie przestępstwa hańbiącego, dalej zapamiętanie na weneryczną chorobę zaraźliwą dla małżonka lub polimstwa niebezpiecznego cierpienia na chorobę psychiczną od roku trwającą i wreszcie niemóc płciową bez względu na czas jej powstania. Nie wolno jednak powoływać się na niemoc płciową osób, które ukończyły 50 rok życia. Warto zresztą zaznaczyć, że te wszystkie przyczyny nasze dawne, poczciwe prawo małżeńskie z roku 1836 uznawało jako powód domagania się rozwodu, ale tylko... dla ewangelików.

To nie wszystko. W przepisach, mających wprowadzić nowe prawo małżeńskie, zawarte są jeszcze dwa niezmiernie ważne postanowienia. Pierwsze z nich — to prawo żądania rozwodu, o ile druga strona w czasie okupacji niemieckiej zadeklarowała na obszarze tak zwanej Generalnej Guberni lub województwa białostockiego swoją przynależność do narodu niemieckiego lub swoje pochodzenie niemieckie. Nikogo nie można zmusić, aby żył ze zdrajcą.

Drugie postanowienie, to wprowadzenie od dnia wejścia w życie nowego prawa małżeńskiego czegoś w rodzaju trzyletniego „okresu ulgowego”, w którym sąd orzeka rozwód, jeżeli małżonkowie po trzyletnim trwaniu małżeństwa zgodnie o to proszą. I znowu warto zwrócić uwagę na zdrowy, chłopski rozum ustawodawcy, który liczy się z wymogami życia. Wojna wprowadziła tak wielkie przemiany w stosunkach osobistych większości ludzi, rozłączyła na lata małżeństwa, że jest rzeczą ze wszelkich miar konieczną ustanowienie pewnego okresu, w którym rozwiązanie małżeństwa odbywać się będzie mogło w sposób prosty i pozbawiony zbędnych formalności. I słusznie, że ów prostszy sposób rozwodu ograniczony będzie tylko do tych małżeństw, które zgodnie o to proszą, i które co najmniej trzy lata przeżyły ze sobą. Tym sposobem unika ustawodawca możliwości udzielenia rozwodu, połączonego z krzywdą którejś ze stron, albo też podyktowanego jedynie przelotnym kaprysem.

Na jedno warto jeszcze zwrócić uwagę. Nowy projekt, w znaczenie silniejszym stopniu od dawnego kodeksu, broni praw dziecka, choćby nawet wbrew interesom czy życzeniom rodziców. Unika on forma-

lizmu dawnego prawa, które nie uwzględniając konkretnych warunków, z góry, teoretycznie przysądzało dziecko ojcu, albo stronie niewinnej, albo nawet oboje rodziców „za karę zawarcia nieważnego małżeństwa” wyłączało od sprawowania opieki. Nowe prawo daje znacznie większą swobodę sędziemu, który w każdym oddzielnym wypadku może najkorzystniej dla dziecka rozstrzygnąć kwestię opieki i wychowania. „Sąd — czytamy — orzekając rozwód lub unieważnienie, powierzy dziecko oraz zarządek jego majątkiem jednemu z rodziców, z pierwszeństwem niewinnego, albo nawet osobie trzeciej, gdyby tego wymagał interes dziecka”.

I tutaj nie mogę się powstrzymać, aby nie przypomnieć jednego z wyroków sądowych z roku 1940 w Związku Radzieckim, wyroku niezmiernie znamiennego i bardzo szeroko dyskutowanego. W klinice rozdziły dwie kobiety. Podczas kąpieli zamieniono noworodki i każda z matek otrzymała cudze dziecko. Po sześciu miesiącach matka jednego z niemowląt zeknęła się przypadkowo z lekarzem, który asystował przy porodzie i po znanym na rączce dziecka stwierdził bez żadnych wątpliwości, że nastąpiła pomyłka. Matka wystąpiła do sądu o zwrot dziecka. O zwrot, ale nie o zamianę. Przywiązała się bowiem do niemowlęcia, które dotychczas uważała za swoje i nie chciała go oddać. Niemniej jednak pragnęła mieć i swoje własne dziecko. Na rozprawie oka zało się, że druga matka, mająca sześciorgo dzieci, z trudem tylko poddała może utrzymaniu rodziny. Matka ta, dowiedziawszy się, że dziecko, które wychowuje, nie jest jej własne, chętnie zgodziła się je oddać. W dodatku nie upierała się wcale, aby zabrać swoje własne dziecko. I oto sąd przyznał dwoje niemowląt pierwszej matce. Rozwiązanie to zadowoliło obie strony i ponadto zapewniło najlepsze warunki dla wychowania dzieci.

Wyrok ten pokazuje jak bardzo zbliżyć się może prawo do kodeksu zdrowego rozsądku. I takim właśnie kodeksem zdrowego rozsądku jest nowy projekt prawa małżeńskiego.

Projekt ten uchyla 61, słownie: sześćdziesiąt jeden ustaw, rozporządzeń i dekrétów, normujących dotąd sprawy małżeńskie oddzielnie i różnolicie dla katolików, prawosławnych, ewangelików, żydów, muzułmanów, mahometan, mieszkańców byłej Kongresówki, byłego zaboru austriackiego, byłego zaboru niemieckiego i odzyskanych ziem zachodnich. Zamiast grubego tomu sprzecznych ze sobą, zawiłanych i przesławnych praw, rozporządzeń i dekrétów nadwornych, z których najstarszy sięga roku 1806, nowy projekt przy nosi jednolitą ustawę małżeńską, złożoną z 38 jasnych, prostych i zrozumiałych dla każdego artykułów. Ustawę, która godzi ze sobą w sposób bardzo ludzki interes społeczny, dobro dziecka i osobiste prawo do szczęścia każdego człowieka. Oto w dziedzinie, gdzie dotąd bezduszny formalizm podawał rękę przepuknej obłudzie, powoli zaczyna zwyciężać zdrowy rozsądek.

Jan Kott

KRONIKA FRANCUSKA

„Tęcza” po francusku (L'Arc au ciel)

Wśród pierwszych książek, jakie przyszły do nas z Francji, znajduje się tłumaczenie powieści Wandy Wasilewskiej „Tęcza”. Przekład ukazał się parę tygodni temu nakładem „Flammarion” pod tytułem „L'Arc au ciel”. Na okładce czytamy: „Traduit du russe par Alice Orane. Prix Staline 1942”. W dodatku w załączonych prospektach wydawca reklamuje powieść jako „un chef d'oeuvre de la littérature soviétique”. Było by nader wskazane, aby ambasada nasza w Paryżu poinformowała wydawcę, że „Tęcza” napisana została po polsku i że Wanda Wasilewska jest pisarką polską.

„Nadzieja” Malraux na ekranie.

André Malraux nakręcił w r. 1939 film na podstawie własnej powieści. Część zdjęć wykonano w miejscach, gdzie toczy się akcja, część w studio w Barcelonie. Film ten, który nie mógł być wyświetlany przed wojną ze względu na cenurę, ukazał się obecnie na ekranach paryskich. Akcja sfilmowanej „Nadzieji” jest znacznie mniej rozpróstała niż książkowej, jest potraktowana zwięźle i nie stawia sobie za zadanie odmalowanie wojny hiszpańskiej w roku 1936 w jej różnicowanej postaci. Film ogranicza się do ukazania paru zaledwie epizodów, gdzie na plan pierwszy wybija się bitwa o górę Telenel. Punktem kulminacyjnym filmu jest wykrzyki i bombardowanie przez lotników republikańskich zamaskowanego lotniska wroga. Scena końcowa, którą pamiętamy z powieści, powróć do gór z zabitymi i rannymi pilotami, wokół których skupiają się tłumy chłopów, należy do jednej z najlepszych, jaką nakreślono od dłuższego czasu. W filmie tym nie ma centralnych postaci, żaden z aktorów nie wysuwa się na pierwsze miejsce. Właściwymi bohaterami są chłopki andaluzyjskie, lotnicy. Film stoi na wysokim poziomie technicznym. Zdjęcia wykonane przez Lonis Page odznaczają się wyjątkową pięknością.

TADEUSZ BREZA

MURY JERYCHA

(Ciąg dalszy)

Rodzina stare mury starała się zwalić na głowę państwa. Państwo na rodzinę. Każde chciało jak najmniej żyć. Od niego zaś żądano aby zaopiekował się wszystkim. — A tutaj czego znowu od niego chce.

Medeksza spojrział na kościół. Ujdzie, pomyślał, niebrzydki. Tylko zawsze ten brak gestu, powietrza, śmiałości. Gmach tu nie stoi, tylko przystanął. Nie jest ani rzeźbą, ani kamieniem. — Książę zapisał płaszcz. — I ten chról! — pokłamał głową — i ten zawsze skądś wiatr. Kraj we wszystkim na złość!

Czerski dostrzegł jego niecierpliwość. — Panie starosto, — zawołał — długo tego jeszcze?

Starosta zaczął tłumaczyć, że nie wie. W zarządzeniu jest, że ma być nadto architekt. Nie mógł się zabrać w samochodzie starosty. Wyjechał później. Zaraz powinien być.

— Architekt! — szepnął książę. — Króla Stasia będzie do grobu układał! To ładnie. Kto tak postanowił?

Starosta odburknął, że nie wie. Pod względem państwowym uważał pytanie za niewłaściwe. Jelski skorzystał z okazji, żeby się wmieścić.

— Przy wszelkiego rodzaju przeróbkach w grobowcach oraz ekshumacjach, z względu na higienę i bezpieczeństwo, pożądanymi są lekarz i architekt. To są wymogi administracji!

Medeksza wlepił w Jelskiego oczy. Czy widział go przedtem. Ach, prawda, w samochodzie. Tylko że zagadany z Czerskim, mało co z drogi pamiętał.

— Wymogi administracji! — książę zwolna przepowiedział sobie te słowa jak gdyby z całym szacunkiem. Potem przyinrużywszy oko przewiercił spojrzeniem Jelskiego. Niegłupio wyglądał, pomyślał, ale kiedy takie rzeczy mówi, to co rozumie! — Bo ja sądziłem. — ciągnął nie spuszczając z Jelskiego oka — że ten architekt to przez względy specjalne. Z pewnością taki tutaj powinien być, prócz niego kadet i poeta. Ale poco lekarz? Cóż miał Poniatowski do medycyny?

Starosta zakręcił się niespokojnie. Przecież czekał go raport. Niechno stulecie do głowy Medekszy wyrwał się w podziemiu z mównicą. Gość taki namolny, niepodporządkowany, bez żadnej administracyjnej dyscypliny. Gotów zrobić jakiś kawał w ostatniej chwili. Niechno już lepiej gada przed!

Książę na pewno był tego samego zdania. Uprzątnął sobie, kto jest ten młody człowiek. Tyberiusz, pomyślał, też wysłał raz wywołania z nakazem dla rodziny, żeby pogrzeb po zmarłym na wygnaniu Lucylusie był cichy. Oto taki poseł. Jelski się zaczerwienił. Czyżby co o mnie w związku z Kryeliną słyszał, że się tak patrzy. Posępny wzrok, czarne, nieprzychylnie oczy, wielki, trochę zgjęty w prawo nos, czoło z poprowadzoną od każdego boku linią włosów systematyczną jak upięta, cała głowa naprawdę czy tylko w wyrazie lekko cofnięta. Czupuryny czy dalekowiedz? To pewnie, że ma charakter. Po nim wzięła go Krystyna. A przez ten czas książę nie spuszczał z Jelskiego oczu wazyl w duchu odpowiedź na pytanie: — Czym przyszłość tego kraju będzie żyć?

— Widzi pan — powiedział bardzo głośno, bo Jelski stał dalej, a wydawało się, że chce mówić z siłą — widzi pan — powtórzył, wciąż się jeszcze zastanawiając nad formą protestu. Zebrał się tu, że by pewne prochy skryto grzebać. Mnie nachodzi lęk. To był jednakowoż król. Czy my się czasem nie dopuszczamy obrazy majestatu?

Jelski odparł:

— Kodeks nasz nie zna takiej obrzy. Uwzględnia jedynie obrazę narodu.

Książę się zastanowił:

— A jeżeli obrażamy króla, który był z narodem.

— Dzisiejszy naród na pewno ma większe zmartwienia, niż się oglądać gdzie spoczną podobny król, a tamtego narodu który był z królem już nie ma.

Stary pan się zachnął.

— To pan je oblicza na dwa.

Jelski wspominał Kozica. Tego by spróbowadzić do Medekszy, niechby sobie pogadali. Jeden wszystko by ubrał w staro-polszczyznę, drugi by z niej oczyścił nawet muzea. Będąmy w środku!

— Naród jest jeden — odrzekł. — Tyko w wieku innym. — Dawny — dziecienny dzisiejszy — męski. Czy nie tak?

Jelski o tym nie wątpił. Każdy wyższy urzędnik dziś wie co to jest racja stanu.

Co to za porównanie z dawną Rzeczpospolitą. Oczywiście dojrzałość!

— A tak! — dorzucił jeszcze pewniejszym głosem. — Teraz naród jest świadomy. Wie czego chce. Wie co dla niego zdrowe. Zatem wydorósł.

— I patrzy z lekceważeniem na pewne epoki swojej młodości z tym świętym przekonaniem, że w podobny sposób nie zgrzeszył! Wie pan, — w trakcie rozmowy zbliżył się do Jelskiego, mówił teraz ciszej, — ja bym się nie zdobył na podobne postanowienie — pokazał na kościół. — Kazał jemu leżeć tu. Czy to nie buta? Czy to nie wyzywianie losu? Taki jestem za-bobonny.

Jelski wziął się na tę nieporadność w głosie.

— Niech się książę nie boi — z wielką powagą dodawał ducha Medekszy. — Tę sprawę na pewno rozstrzygnął pan prezydent. I to po dojrzałym namyśle.

— Albo i nie — upierał się książę. — Od ręki to załatwił. On i wszystko.

Czerski milczał, ani go ziębiło, ani grzało. Natomiast starosta się piecił. Przecież to otwarta scysja.

— Wola rządu jest jasna — wystąpił gorąco. — Cała rzecz teraz się podporządkować. Państwo stoi na posłuszeństwie.

— A posłuszeństwo na tradycji — nie odwracając się zbył tym starostę. — Wiedział, że co się ma stać, to się stanie. Ale żeby ktoś to samo co on czuł!

— Gdybyż w tym była samowola, tyrania. Zwłoki znieprawionego króla od chwały odrzucił. Straszny gest, lecz z historią zgodny. Ale tu, panie, nie lew zastąpił drogę cieniem na Wawel, ale żółw. Emblemat urzędowania. Trybów z papieru. Jelski poczuł, że winien Medekszy prawdę.

— Stanisława Augusta — mówił, pewien że teraz księciu pokaże się w większym formacie — nie wolno wprowadzać po Piłsudskim. Tylko tyle.

— To tyle, co gdyby pan powiedział — zmudnie zamysłił się książę — że nie tylko jeden, ale i drugi jest na to za mały.

Jelski się obruszył. Oto wyznał w tej sprawie sekret samego prezydium rady ministrów. I takie tego przyjęcie. Obrzył się.

— Przy Poniatowskim za mały Piłsudski! Czy nie za poważna rozmowa na paradoksy!

Ale Medeksza nie dał się stropić.

— Wyczytałem go z pańskich słów. Proszę śmiało spojrzeć w ich głębszy sens. Czy to nie wątpić o tej wielkości, tak się przestraszyć, że jej zaskodził sąsiedztwo kiego króla. Niech pan ułoży Poniatowskiego u Inwalidów. Co przez to straci Napoleon?

— A jednak leży sam — przypomniał sobie Jelski.

— I tak powinien leżeć Piłsudski — warknął Medeksza. Rząd postanowił, że ma spocząć z królami, jakim sposobem teraz król nie może leżeć razem z nim. Proszę to wziąć na logikę.

Jelski się bronił:

— To nie rząd wyznaczył mu Wawel, to on sam.

Książę się zadumał.

— To Wyspiański! — rzekł. — Zawrócił sobie głowę Wyspiańskim. U nas państwowe myślenie, to albo Dzienniki Ustaw, albo Wieszcz. Żadnych środkowych stopni!

Starosta przestał cokolwiekbaź rozumieć. Urwał sobie brzożową witek. Machnął nią kilka razy ze świstem. Jelski przypomniał sobie nagle, że czytał artykuły Medekszy. Cytaty ze Staszycza przeplatały się z cytatami z Gypa. Tematem ich były zabytki. Myślą przewodnią — że powinno od nich na nas iść techniczne dziejów.

— Z tego co książę pisał — zawołał — sądzę, że chyba jest za taką historią.

Medeksza okrzyknął się żywo:

— Ale nie za taką literaturą. Jej interes nie zgadza się z państwem. Albo jedno albo drugie bierze górę. Albo jedno albo drugie narodem władą. A niebezpieczne jest to nasze wiadanie romantyczne. Dla nowej wielkości duch narodu jeszcze raz nas gotów zaprzepaścić!

Czerski, który kilka razy utulił ziewnięcie, teraz poczuł się na siłach wmieścić.

— Nie da rady! — roześmiał się głośno. — Dawniej był rządem dusz romantyzm. Jako rząd państwowy Piłsudski w sobie zrównał z nim moc. I odtąd na korzyść siły będzie siałabł romantyzm. Aż póki się nie staniemy samą siłą.

Jelski uzupełnił:

— Nie ma strachu, by państwo drugi raz upadło natchnieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWE KSIĄŻKI

Lenin: Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej. („Książka”, 1945, str. 100, cena 12 zł).

Praca Lenina „Dwie taktyki” odnosi się do okresu rewolucji rosyjskiej 1905 roku.

W roku 1903, na II Zjeździe RSDRP, nastąpił rozłam na fle zagadnień organizacyjnych na grupę bolszewicką i mieniszewicką. Zasadnicze lę bolszewików zostały sformułowane przez Lenina w dwóch jego wieńskich pracach: „Co robić?” oraz „Krok naprzód, dwa kroki wstecz”. Formalnie istniała jeszcze jedna partia socjaldemokratyczna. Faktami jednak, grupa bolszewicka i mieniszewicka tworzyły w chwili wybuchu rewolucji 1905 roku dwie partie, z własnym kierownictwem i co najważniejsze, z własną koncepcją polityczną.

Wypadki rewolucyjne nie tylko nie zlagodziły istniejących różnic w obliczu wspólnego wroga, lecz wręcz przeciwnie pogłębiły je. Do dotychczasowych różnic poglądów w sprawach organizacyjnych dołączają się bowiem różnice, dotyczące taktyki. Szło mianowicie o to, jak należy się stosunkować do burżuazyjno-demokratycznej rewolucji, przeprowadzanej w warunkach wysoko rozwiniętego ruchu robotniczego.

Obie grupy socjaldemokracji rosyjskiej rozstrzygały to zagadnienie rozmaicie. Bolszewicy, z Leninem na czele, uznawali burżuazyjno-demokratyczny charakter rewolucji, ale zdawali sobie sprawę, że burżuazja nie jest zdolna do jej przeprowadzenia, że pójdzie na ugody z caratem dla zdławienia groźnego dla niej ruchu. I dlatego też wysuwali tezę, że kierownictwem toczących się walk może być tylko proletariatusz w oparciu o chłopstwo, które w obliczu rozprawy z burżuazją musi pójść również drogą rewolucji. Proletariat jest zainteresowany w przeprowadzeniu do końca rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, gdy zdobyta w ten sposób wolność polityczna rozwiąże mu ręce dla dalszej walki o cel ostateczny — socjalizm.

Temu stanowisku bolszewików mieniszewicy przeciwstawili koncepcję hegemonii liberalnej kurtuazji w toczących się walkach. Ich zdaniem rewolucję burżuazyjną może przeprowadzić tylko burżuazja. A więc nastawili się należać na liberalną burżuazję. Proletariat nie może brać udziału w rządzie, ponieważ posiada swą odrębne cele polityczne. Bolszewickiej koncepcji hegemonii proletariatusz mieniszewicy przeciwstawiali hegemonię burżuazji w rewolucji 1905 r. Koncepcji Lenina sojuszu z chłopem, przeciwstawiali orientowanie się na liberalną burżuazję. Występując przeciw bolszewickiemu

hasłu demokratycznej dyktatury robotników i chłopów, propagują stanowisko odsunięcia się od udziału w rządzie rewolucyjnym i oddania steru władzy w ręce burżuazji.

W rezultacie starcia się tych dwu sprzecznych stanowisk, dochodzi do dwu odrębnych zjazdów partyjnych, na których stanowiska te zostają sprzeczowane. W kwietniu 1905 roku obradował w Londynie III Zjazd, zwołany przez bolszewików. W tym samym czasie w Genewie obradowali mieniszewicy, wykuwając swoją linię taktyczną. W lipcu 1905 roku, a więc w dwa miesiące po Zjeździe, pojawiła się praca Lenina „Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej”.

Ze zwykłą sobie jasnością i ścisłością Lenin wyklada w tej pracy zasady taktyki partii bolszewickiej. Po pierwsze, Lenin podkreśla, iż wodzem rewolucji, mimo iż jest ona w swej treści burżuazyjno-demokratyczna, może być tylko proletariatusz. Dla zrealizowania tej hegemonii proletariatusz musi zawrzeć sojusz z chłopem, którego interesy popychają na drogę rewolucyjną. Jasne określenie stosunku rewolucyjnego proletariatusz do chłopstwa w okresie rewolucji jest bez wątpienia jedną z głównych zdobyczy leninizmu. Po drugie, drogą, która prowadzi do zwycięstwa jest, wedle Lenina, zbrojne powstanie. Po trzecie, Lenin wyraźnie podkreśla, że rewolucja burżuazyjno-demokratyczna nie jest dla proletariatusz celem samym w sobie, a tylko etapem na drodze do walki o rewolucję proletariacką.

Ze strony pracy Lenina bije gorączkowy duch rewolucji. Polski czytelnik, który tak mało miał możliwości zetknięcia się z pracami wielkiego wodza rewolucji proletariackiej, z podziwem wchłaniać będzie jego tak proste i przejrzyste, a zarazem tak niezłocznie logiczne myśli. Na tym właśnie polega wielkość Lenina i czar jego pism.

„Dwie taktyki” to nie jest praca o znaczeniu wyłącznie historycznym. Pisząc o taktyce proletariatusz w r. 1905, Lenin dał międzynarodowemu ruchowi robotniczemu wytyczne dla taktyki w każdym okresie rewolucyjnym. Po tej właśnie linii poszła zwycięska rewolucja 1917 roku. Myśli Lenina zachowały swą aktualność i po dziś dzień. Polski czytelnik znajdzie w tej pracy wiele materiału dla refleksji i historycznych porównań. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że jako kraj rolniczo-przemysłowy, jesteśmy szczególnie zainteresowani kwestią chłopską, która tak gruntownie i oryginalnie naświetlenie znalazła w pracy Lenina.

Adam Schaff

ROZMAITOŚCI

PO ZJEŹDZIE LITERATÓW

Obszernie i z uznaniem pisano o zjeździe Związku Literatów, który odbył się w ostatnich dniach sierpnia w Krakowie. W prasie codziennej ukazały się sążniste sprawozdania, niektóre gazety centralne poświęciły zjazdowi artykuły wstępne, omawiające z grubsza charakter dzisiejszego fermentu ideowego w świecie literackim.

Przed wojną zjazdy literatów odbywały się co dwa lata i nikt tam znów w prasie nie dochodził, o czym mówią w tym środowisku. Poczytne czasopismo pod nazwą „Wiadomości Literackie”, stanowiące coś w rodzaju giełdy walorów duchowych, prawie nie znano takiej instytucji jak Związek Literatów. W swoim smutnym i nikłym żywocie kopciuska Związek, przez długi czas przypominał klub towarzyski starszych pań statystujących w literaturze, nawet doroczne wybory władz nie rozpraszaly atmosfery apatii, aż któregoś roku kilku lewicowych literatów niespodzianie zjawilo się na zebraniu i jednym dmuchnięciem dokonano przewrotu. Nazajutrz była drobna wzniepanka w prasie i ponoc duże wrażenie. — Odtań raz do roku w najbliższym warszawskim oddziale, raz na dwa lata na walmym zjeździe szumiało i gromiało przez kilka godzin. Jeśli demokraci brali górę i udawali im się preforosować swój zarząd, to satysfakcja moralna łączyła się z gorzką refleksją, że władze rządowe okroją i tak mizerny, zebraćzy zasilek dawany na ratowanie ciężko chorego lub doprowadzającego literata. Związek nie był i nie mógł być faktycznym reprezentantem świata literackiego tam, gdzie rzedziły prawa giełdy i gdzie rząd prowadził po swojej myśli politykę elitarną selekcji.

Nie po to wspominać o przedwojennych czasach, żeby upajać się zmianą stosunków. Zmiana jest zrozumiała, ale czy dostateczna? Podniesienie autorytetu zawodu pisarskiego w społeczeństwie nie może zasadać się na wyróżnianiu poszczególnych literatów, przede wszystkim wzrosnąć musi powaga i siła Związku, reprezentującego ludzi tego dzwignego zajęcia, które jest czymś mniej od normalnego zawodu i czymś więcej. W traktowaniu tego zajęcia bezpośrednio wyraża się stosunek do wartości kulturalnych, które chce nie chce literat produkować. Nie wiem, gdzie ten stosunek jest najgorszy, ale wiem gdzie jest najlepszy; u naszego sąsiada, w ZSRR. To wynika ze struktury społecznej. Przy zmianach struktury, prowadzących do rzeczywistego demokracji hierarchii wartości, jakby sama przez się urasta powaga zawodu literackiego i związku, który środowisko literackie reprezentuje.

Mówi się u nas o przetasowaniu wartości. Nie przychodzi to latwo, zmiany dopiero są w toku, więc i odzywa się utarte i uparte, ziemianskie i mieszczańskie, szlacheckie i kulturalne pojęcie, że literat z powołania powinien być chudy, a jeśli dostąpił się pisarzem domy mieszkalne, klubowe i odpoczynkowe, to chyba ze zbytnej szczodrości na poczet jakichś przyszłych zasług. Pół roku temu w Krakowie, kiedy trzeba było rugować nufciarzy z domu przynależnego literatom, buńczuczny urzędnik naftowy powiedział mi ze szczerą przekonaniem: my jesteśmy ważniejsi od was, a kiedy próbowałem wyprowadzić go z tego nagminnie rozpowszechnionego błędu, uznał, że nie dbam o odbudowę gospodarczą. Od tego czasu trępie się pojęcia zmieniły, ale nie za nadto, bo pojęcia są z natury odcieżałe, zwłaszcza te kulturalne, które zalażą nawet do głów dzielnie pracujących dla postępu w polityce gospodarczej. Nowy stosunek do ludzi sztuki na razie przechodzi dziecięcą odrę. Mamy moc niezliczoną nowego typu mecenatów, którzy uważają się za powołanych do wiązania literatury z życiem, opiekunów ludowych, mentorów wojewódzkich i powiatowych. Pouczają literatów, o czym mają pisać, jak mają pisać i w ogóle jak się mają zachować. Pewien wicewojewoda żyjący sobie jednokółkowo do teatrów amatorskich, inny dyktator chciałby być na poczekaniu akuszerem wielkich dzieł epickich. Świat literacki sprawia wrażenie chorego z urojenia, którego każdy przechodzień obkłada receptami. Doszło do tego, że sympatyczny przedstawiciel organizacji młodzieżowej, witaając zjazd literatów, z przywycieczaniem wypuścił referat o celach i sukcesach swojej organizacji, po czym wezwał poetów, aby przestali zajmować się rebusami. — Może zresztą był to tajny agent klubu szaradzystów.

Takie są przykre skutki tej koniunktury na literatów. Właśnie to — koniunktura, to mądre słowo, które się słyszy w razurach, posępny upiór ze świata wielkokapitałistycznej gospodarki, bezkierunkowa zmierzność losu... Na zjeździe literatów powaga obrad pochodziła raczej skądś, a nie z poczucia, że użytko było kawalek trwałego gruntu. Była to powaga śmierci — tak wielu kolegów zabrakło, powaga młodej przed wojną generacji, która nagle okazała się najstarsza, bo nie było już ani jednego z tych sangwinicznych starców, których werdykty wywoływały tyle nie-

porozumień i sporów. Omawiając obszernie w „Odrodzeniu” przebieg zjazdu, Zbigniew Bienkowski wytyka literatom, że nie zdobyli się na potępienie postępków Akademii Umiejętności, która przyjęła do swego grona kolaborantów. To fakt, że ogół literatów nie uprzytomnił sobie jeszcze własnego autorytetu moralnego, nie miał poczucia nabytej siły.

Lęk przed wystawieniem swojego autorytetu na próbę na pewno nie pochodził ze słabości moralnej; widocznie swoją postawą w latach okupacji i dość licznym udziałem w walce z niemieckim faszyzmem ogół literatów dobrze się zasłużył, ale — przepraszam za tę trywialność — w społeczeństwie, gdzie pieniądź znaczy jeszcze bardzo dużo, nie ma pozycji siły bez trwałej bazy materialnej. — Zgromadzenie Związku wahało się uchwalić minimalną stawkę wierszową dla swoich człon-

ków. Ktoś przypomniał, że uchwalono coś podobnego w 1920 roku i ówczesna uchwała nie wytrzymała próby. Ten głos puszcząka przeżył i zgromadzenie samo wystawiło sobie świadectwo nowoczesnej słabości.

Trzeba powiedzieć otwarcie, że wiele składa się na tę niepewność siebie. Odmówiony rok temu Związek Literatów, pomysły jako instytucja samorządu kulturalnego, nie otrzymał odpowiedniego poparcia. Polityka sfer rządowych w tej sprawie była od początku niejasna i stała się coraz wątpliwszą. Czy obietnice podziemnego KR-u zostały spełnione? — Stworzenie funduszu literackiego i oddanie go do dyspozycji Związku dalooby niezbędną bazę materialną do utrwalenia moralnego autorytetu zawodu pisarskiego, a na to wcale się nie zanosi. Zarząd tymczasowy Związku Literatów przekazał stulemu zarządowi domy miesz-

kalne i odpoczynkowe, pustą kasę, dumę, że Związek zajął jakieś miejsce w społeczeństwie, gorycz zawiedzionych nadziei, wstyd, że nie może zapewnić powieściopisarzom, a co dopiero frykom, takich środków egzystencji, które by uwolniły ich od konieczności zajmowania się inną pracą zarobkową.

Dlatego to na kilka dni przed zjazdem grupa literatów, która znalazła się nad morzem w Sopocie, w melancholijny wieczór sierpniowy zaglądała z zawiścią przez szyby do wesolego damingu PPS, na którym nie tańczył ani jeden robotnik. Zaglądali nie jak o-darte dzieci do ciepłej piekarni, ale jak mądry Polacy po szkodziu. Bo oto prawdziwa mądrość robotnicza w dobie rewolucji łagodnej. A nam by powiedziano, że jesteśmy try-wialni...

Adam Ważyk

Z PRASY ANGIELSKIEJ

Co uderza przede wszystkim ze szpał powojennej prasy angielskiej — to jej charakter iak refleksyjny, że aż przesycony cieniem melancholii. W tym cieniu legnie się raczej głęboki niepokój o wszystko niż sprzecyzowane hasła walki o cokolwiek.

Prasa angielska była zresztą zawsze raczej zwierciadłem wydarzeń niż przywódcą opinii publicznej. Notujemy tylko, że niewiele się pod tym względem zmieniła. Okresem wyjątkowym były ostatnie miesiące przed wybuchem wojny, kiedy to szpały dzienników i tygodników zagrały jakąś przynajmniej ideą uchwytą, choć krótkotrwałą: ideą wojny. Ale refleksyjność powróciła. Nie potępiamy refleksyjności. Przecież pokazuje nam rzeczywistość jak w zwierciadle, daje nam materiał do samodzielnego rozmyślenia, do samodzielnego wniosków. Lecz czy to wystarcza w czasach, w których zachwiane strasliwą wojną myśli ludzkie rozglądają się za wyraźnym, zdecydowanym drogowskazem? W czasach, w których światu trzeba nowego, potężnego oddechu idei, aby się w ogóle mógł odbudować? Jeżeli każdy okres powojenny sprzyja powstawaniu i realizowaniu nowych myśli — to chyba właśnie zadaniem publicystyki jest nie tylko myśli te analizować, ale przede wszystkim w ich imieniu walczyć. W dzisiejszej politycznej publicystyce angielskiej — dokładnie i wielostronnie oświetlającej wydarzenia — tego momentu walki nie widać. Jak gdyby zabrakło idei dość silnej, aby móc oddać się jej z pełnym i szczerym przekonaniem.

Leżą przed nami tygodniki: konserwatywny „Spectator”, bezpartyjny „Time and Tide”, dalej słynny „The Economist” i nie mniej znany „The New Statesman and Nation” (dwa najpoważniejsze przed wojną i wyraźnie lewicowe czasopisma angielskie), wreszcie tygodnik „Tribune” — stosunkowo najbardziej „bojowo” stojący po stronie socjalizmu. Leżą przed nami po kilka numerów każdego z tych pism i pism jeszcze innych, z datami sierpniowymi aż do daty września 1945. Szukamy wśród artykułów publicystycznych śmiałej intencji i otwartego wizerunku przyszłości. Znajdujemy intencje — przeważnie nie dopowiedziane — i otwarte kłopoty.

Publicysta angielski jak gdyby stroni od wskazywania zbyt wyraźnych celów, a jeżeli szkicuje je nawet — to w sposób raczej chwilowy i niezdeterminowany. I w tym swoim sceptycyzmie i chwilowości bywa aż denerwujący. Zato z wielkim talentem i szczerością rysuje piórzace się przed światem, a przede wszystkim przed swym krajem wszelkiego rodzaju trudności — i w tym bywa prawdziwie i niezmiernie interesujący.

Rzucają się w oczy także przede wszystkim tytuły publicystycznych rozważań: „Stosunki anglo-amerykańskie” — „Wielka Brytania a Europa” — „Stosunki z Rosją” — „Czy Labour Party posiada swoją politykę zagraniczną?” — „Problem Frankenstein’a” (czyli nowe kłopoty polityczne, wynikłe z wynalezienia bomby atomowej) itp.

„Jest rzeczą jasną — pisze „The New Statesman and Nation” — że kredyt amerykański nie będzie się kwapił, jeżeli ma być użyty dla sformowania bloku zachodnio-europejskiego, zorganizowanego w celu wyeliminowania towarów amerykańskich. Z drugiej jednak strony, Ameryka nie może pozwolić sobie na to, aby Wielka Brytania i Zachodnia Europa wpadła w ruinę finansową. Musi tu być uchwy-

cona bardzo delikatna równowaga i Mr. Bevin będzie musiał użyć całej swej umiejętności pertraktowania, aby pozyskać dobrą wolę Ameryki, a jednocześnie uszczuplić nas (Wielką Brytanię) od roli partnera, partnera w tym wypadku niższego, w jakimś bloku anglo-amerykańskim”.

„Nie powinniśmy oskarżać Rosji, albo samych siebie za tę sytuację, jaka powstała” — pisze „Time and Tide”. — „Jest oczywistym faktem, że narody anglosaskie i Rosjanie znaleźli się twarzą w twarz w przeciwstawnym świecie i patrzą jedni na drugich niepewnie i uważnie”.

A „The Economist” przytacza słowa Bevina: „Stany Zjednoczone Ameryki to kraj, który wierzy w przedsięwzięcia prywatne. Związek Radziecki przeprowadził socjalizację swojej gospodarki wewnętrznej. Wielka Brytania stoi pomiędzy tymi dwoma niezwykle rozwijającymi się szansami...” I następnie przytacza wypowiedź, rzuconą przez antyfaszystowskiego pisarza włoskiego, Ignazio Silone, na wieść o zwyczajnie Labour Party w wyborach: „Teraz Wielka Brytania ma szansę stanąć na czele rewolucji demokratycznej”.

Ale drogi ku temu nie precyzują się, ale raczej gubią w rozważaniach publicystów.

Z jednej strony z niepokojem spogląda się na supremację gospodarczą Ameryki i szuka się uniezależnienia poprzez jak najściślejszą współpracę z Europą. — Z drugiej strony z niemniejszym fraszunkiem wskazuje się na rolę Związku Radzieckiego. Jednocześnie wyraża się nadzieję, że nowy, socjalistyczny rząd Wielkiej Brytanii łatwiej się porozumie ze Związkiem Radzieckim, że usunie atmosferę nieufności. I sugeruje się konieczność międzynarodowej kontroli nad wynalazkiem bomby atomowej w o-bawie, aby zachowanie tajemnicy nie doprowadziło do wzajemnego prześcigania się w wynalazczości — i do nowej wojny.

Lewicowy tygodnik „Tribune” jeszcze stosunkowo, najwyraźniej próbuje wykreślić perspektywy, jakie — zdaniem tego tygodnika — otwierają się dla Europy i dla roli Wielkiej Brytanii na skutek zwycięstwa Labour Party.

„...Dla republikanów w więzieniach gen. Franco zwycięstwo Labour Party oznacza nadzieję, że jutro być może będą wolni. Dla godzących kobiet w miastach francuskich lub włoskich oznacza to nadzieję, że jutro będzie może mleko dla ich dzieci. Dla demokratycznych socjalistów we Wschodniej Europie oznacza to olbrzymi wzrost pewności siebie. Jeszcze wczoraj hasłem milionów socjalistów kontynentu było: Europa musi być socjalistyczna, albo zginie! Dziś to hasło brzmi, Europa będzie żyła, ponieważ będzie socjalistyczna. Jest rzeczą pewną, że socjalizm angielski zerwie z churchilowską polityką popierania królów i ministrowych dyktatorów przeciwko ruchom społecznym... Socjalizm angielski (Lab. Party) przystępuje do zdobycia wszystkiego poprzez otwarte proklamowanie swych intencji popierania sił demokratycznych i izolowania wrogów demokracji wszędzie. Frazes o nieinterwencji musi upaść wraz z konserwatyzmami... Konieczność poparcia naszych towarzyszy przeciwko pozostałościom faszyzmu w ciemnych kątach kontynentu, konieczność ogromnego wysiłku w celu odwrócenia powszechnego głodu i upadku gospodarczego w Europie tej zi-

my, konieczność zjednoczenia postępowej demokracji europejskiej w związaniu i jednolitą całość — oto racje, dla których socjalizm brytyjski, w tym momencie korzystniejszej okazji, musi mieć swoją strategię europejską. A punktem wyjścia dla tej strategii musi być Zachodnia Europa — nie dlatego, że jest brytyjską „sferą wplywów”, ale dlatego, że jest to ta część świata, w której podobne zagadnienia społeczne i ekonomiczne zobowiązują do podobnych rozwiązań i w której podobnie pokrewne ruchy wyrastają z podobnej struktury społecznej. Nie ma nic ekskluzywnego w tym naszym zainteresowaniu dla Zachodniej Europy. Bardzo mało pomocy moglibyśmy dać Europie bez najbliższej współpracy z innymi częściami Wspólnoty Brytyjskiej, a także nie jest naszym życzeniem wzniesienie barier gospodarczych przeciwko Stanom Zjednoczonym. Planowanie regionalne jest z konieczności czymś niższym w stosunku do wspólnego planowania światowego — pod warunkiem, że to ostatnie jest dostępne praktyce aktualnej. Im większa współpraca gospodarcza z USA — tym lepiej dla nas i dla Europy. Ale jeżeli USA — jak to obecnie wydaje się prawdopodobne — upierać się będą na przeszerzeni najbliższych kilku krytycznych lat przy nawracaniu do tańców „wolnego” monopolistycznego kapitalizmu, to socjalistyczne rządy Europy i Wspólnoty Brytyjskiej będą musiały związać się razem w swym planowaniu gospodarczym przeciwko destruktywnym wstrząsom ekonomicznym, grożącym z tamtej strony. Zjednoczenie Zachodniej Europy nie oznacza również utrwalenia się linii granicznej, jaką wielkie mocarstwa przeciagnęły ostatnio pomiędzy Europą Wschodnią i Zachodnią. Są wszelkie korzyści gospodarcze do osiągnięcia poprzez kooperację pomiędzy społeczeństwami z obu stron tej linii demarkacyjnej. I możemy mieć nadzieję, że zlekce polityczna podejrzliwość wzdłuż tej sztucznej granicy, gdy po zachodniej stronie odniecie pomocy brytyjskiej doprowadzi do zniknięcia ognisk faszyzmu, a po wschodniej stronie stanie się odpowiednio łatwiejszy rozwój organizacji sił demokratycznych... My nie pragniemy zachodniego bloku przeciwko Rosji: my chcemy ściślejszej współpracy europejskiej z pomocą Rosji. Im wcześniej Europa będzie mogła zmasać linię demarkacyjną — tym lepiej. Tymczasem mamy zadania do wypełnienia po naszej stronie linii. To tutaj właśnie... demokratyczne stronnictwa socjalistyczne, ściśle w ogólnych zarysach podobne do naszej partii, są albo przy władzy, albo w przededniu uchwycenia władzy poprzez wybory, które się odbędą na przeszerzeni najbliższych kilku miesięcy. Socjalistycznych premierów ma Szwecja, Norwegia, Dania i Belgia, socjalistyczni wicepremierowie wywierają silny wpływ w Holandii i we Włoszech. Oczekuje się, że wybory we Francji, we Włoszech, w Danii i w Norwegii wytworzą wyraźną lewo-skrzydłową większość w przeciagu bieżącego roku... Jeżeli europejska strategia Labour Party ma się rozpocząć na Zachodzie, to droga do wspólnej pracy zachodnio-europejskiej jest rzecz jasna, ściśle porozumienie pomiędzy Wielką Brytanią i Francją...”

Oto wynurzenia — wśród leżącej przed nami bieżącej publicystyki angielskiej — najbardziej otwarte. Inne, jeżeli sposobem bardziej zakonspirowanym nie potracą o tę samą nutę, to gubią się wśród bezdroży refleksji, obaw i sceptycyzmu. — Wydaje się, że zwycięstwo Labour Party odsuwa od siebie dwóch anglosaskich partnerów i wytworza sytuację, w której Wielka Brytania — wśród coraz większych trudności gospodarczych — szuka nowej pozycji dla siebie. Tyle, że nie odczuwa się w wypowiedziach publicystycznych zbyt wielkiego żalu za odrzuconą polityką Churchilla. Uznaje się jego zasługi wojenne i cytuje się, kapitalną zresztą, wypowiedź Leona Bluma, który ostatnio proklamował we Francji „democracy's right to be ungrateful” — prawo demokracji do niewdzięczności.

NOWOŚCI „CZYTELNIKA”

Wrzesień 1945 r.

HENRYK SIENKIEWICZ — Krzyżacy zł 120.—
ZOFIA DRÓZDZ i WL. MILCZAREK — Zakochani w Pomorzu zł 15.—
J. SAWICKI i B. WALAWSKI — Zbiór przepisów specjalnych
przeciwko zbrodniarcom hitlerowskim i zdrajcom narodu zł 45.—

DO NABYCIA WĘ WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ZJAZD PEDAGOGÓW TEATRALNYCH

W dniach 14, 15 i 16 września odbywał się w Łodzi trzeci w Polsce Zjazd Pedagogów Teatralnych, który miał ustalić zasady i normy zawodowego kształcenia aktora do pracy na scenie.

Sądząc z wielkości i charakteru stawianych postulatów sprawy te dotychczas nie były właściwie uformowane, albo uformowane tylko częściowo tak, że zjazd podjął właściwie nową i bardzo trudną pracę stworzenia planu organizacji szkół aktorskich i programu nauczania, a dalej poprzez uformowanie współpracy teatru zawodowego ze szkolnictwem ogólnokształcącym i teatrami niezawodowymi Zjazd starał się wyznaczyć teatrowi miejsce w funkcjonującym aparacie społecznym, ustalić i określić wszystkie punkty zetknięcia z innymi instytucjami o charakterze pedagogicznym czy artystycznym.

W ten sposób postawione problemy organizacyjne przekroczyły zasięg zainteresowania wyłącznie guchowych, a stały się treścią ogólnych społecznych zainteresowań problemami organizacji kultury i kształtowania się jej instytucji.

Teatr jako zawód sztuki ma swój odrębny i specjalny charakter, którego prawie lub wcale nie posiadają inne jej zjawiska. Jest on w całym, formalnym także tego słowa znaczeniu — instytucją, a wskutek tego ma także bardzo wyraźne i łatwo dostrzegalne formy organizacyjne i co więcej formy te posiadają własne duże znaczenie dla jego charakteru i jego funkcjonowania.

Teatr jest instytucją społeczną nie tylko w rozumieniu ogólnym, które dotyczy właściwie wszystkich zjawisk dziejących się w życiu, ale i w węższym czy też głębszym znaczeniu. Zespół aktorski jest swoistą grupą społeczną zorganizowaną wedle własnych rządzących nią praw. Zespół widzów na widowni jest drugą taką samą grupą, bardziej zróżnicowaną i bardziej zmienną, ale powstającą i istniejącą regularnie, na podstawie praw znanych w pewnym zwłagaryzowanym może przybliżyć każdemu dyrektorowi czy administratorowi teatru, który musi kalkulować powodzenie sztuki ze względu do czysto materialnych.

Obję te grupy współdziałają ze sobą, oddziaływiają na siebie wzajem, łączą się lub zwalczają i to też na zasadzie praw, których wyczuwanie i uznanie pojawia się właściwie w każdej dyskusji na temat teatru, w rozważaniach reperturowych, w problemach krytyki teatralnej, w kontekście ocen społecznych i widza i aktora. Brak bardziej precyzyjnych sformułowań socjologicznych a nawet poprawnej socjologicznej teorii na ten temat ciąży właściwie nad wszystkimi zagadnieniami teatru rozpraszając je po różnych dziedzinach wiedzy w dorywczych, aktualnie użytecznych sformułowaniach.

Dlatego Zjazd Pedagogów Teatralnych, jego obrady i ich wyniki ciekawe były nie tylko z punktu widzenia wieloznaczącego załatwienia spraw fachowych, wewnętrznych dla danej grupy społecznej, ale i jako zaplanowanie pewnych procesów kulturalnych na podstawie naukowo dowiedzianych zasad, jako eksperyment w społecznym laboratorium, gdzie posługując się danymi, uzyskanymi w drodze wieloletnich doświadczeń, postuluje się pewien i góry obliczalny i dla pewnych celów obliczony wynik.

Do tych wstępnych rozważań teoretycznych, zmusza powszechnie stosowane w praktyce zamieszanie i męczenie tych problemów przez ludzi, którym się zdaje, że ponieważ sala teatralna jest miejscem publicznym i każdy kto wykupi bilet może na nią bez trudu wejść, każdy taki posiadacz biletu jest równocześnie uprawniony do wygłoszenia lub napisania wielu sentencji o teatrze i aktorach, tylko dlatego, że wydaje mu się, że jedyną regułą organizacji teatru i melodi jego badań jest dowolność wszelkich założeń.

Oczywiście to, co tu napisano, nie jest wstępem do wiedzy o teatrze. Chodzi tylko o zwrócenie uwagi na specyficzność i skomplikowanie tych problemów oraz ich suwerenność pomiędzy innymi zagadnieniami kultury czy sztuki.

Wyraz temu dał właśnie Zjazd w szeregu uchwał i wysuniętych postulatów.

Dla ułatwienia skomplikowanej pracy Zjazd podzielono na 6 komisji, które szczegółowo opracowywały: organizację nauki i statutów, programy szkół teatralnych i wydawnictw, oraz zorganizowanie Akademii Sztuki Teatralnej, nauczanie instruktorów teatru niezawodowego, zagadnienie współpracy ze szkolnictwem ogólnokształcącym, wreszcie szkolenie administracji teatralnej.

W pierwszym dniu obrad po powitalnym przemówieniu dyrektora Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, Aleksandra Zelwerowicza, wygłoszono cztery referaty, które miały być podstawą późniejszych prac komisyjnych. Prof. dr Szebrny wygłosił referat p. t. „Człowiek w życiu i na scenie”, p. Borowski referat p. t. „Dwie drogi — dwa cele”, p. Wilanowski referat p. t. „O ideowo-społeczne oblicze szkoły aktorskiej” i p. dr. Furmaniak referat p. t. „O nauczaniu przedmiotów humanistycznych w uczelniach teatralnych”.

Wnioski pierwszej komisji referował p. Damiński, prezes ZASP. Zjazd uchwalił: stworzenie sieci szkół teatralnych w całej Polsce, które mieściłyby się w ośrodkach centralnych planowanej sieci teatralnej w Polsce; zakres działań komisji weryfikacyjnej dla słuchaczy i komisji noszących nazwę przy ZASP, która będzie decydować o przyjęciu do zawodów aktorskich; dalej — zrozumiałą zupełnie w tym zawodzie, konieczność organizowania wyjazdów za granicę bądź dla zwiedzania teatrów, bądź też dla pogłębienia studiów. Uchwalił wreszcie zasady dotyczące kwalifikacji i weryfikacji pedagogów, egzaminów dla eksternistów i dokładny statut szkoły teatralnej. Pp. Zaleski

i Bogdziewicz referował sprawy studio operowe i kształcenia aktorów dla filmu i radia.

Wnioski połączonych komisji drugiej i trzeciej referował p. Szeptyński. Uchwalił między innymi: stworzenie Wyższej Szkoły Teatralnej z wydziałem aktorskim, reżyserskim i przygotowującym kierowników literackich do praktycznej pracy teatralnej oraz kształcącym osoby, pragnące działać w zakresie krytyki i piśmiennictwa teatralnego, a także stworzenie trzy i czteroliteńskich liceów aktorskich na tej samej zasadzie ogólnej organizacji szkolnictwa, tzn. jakiej istnieją licea humanistyczne, matematyczno-przyr. i t. p. Licea te, oprócz wykształcenia ogólnohumanistycznego, dawałyby według intencji Zjazdu także wstępne wykształcenie aktorskie. „III Zjazd P.T. domaga się wprowadzenia dla wszystkich liceów aktorskich jednolitego, szeregowego programu nauczania przedmiotów praktycznych, czyli t. zw. gry scenicznej. Dotychczasowa dowolność, pozostawiająca program nauczania inwencji poszczególnych nauczycieli, jest systemem niewłaściwym. Opracowanie szeregowego programu nauczania t. zw. gry scenicznej w liceach powierza się Naczelnej Radzie Artystycznej i ZASP” (wniosek 2 komisji II i III).

W związku z powyższym projektem uzyskanie pełnych kwalifikacji zawodowych zależy od ukończenia liceum i albo praktyki scenicznej, albo ukończenia Wydziału Aktorskiego W.S.T.

Jest to zrozumiałe i słuszne dążenie do pełnej specjalizacji na wysokim poziomie wykształcenia, a ep za tym idzie tym wyższej szczebla wyodrębnienia grupy aktorów zawodowych spośród innych grup zawodowych i społecznych.

Programy nauczania zarówno w liceach aktorskich jak i „Wyższej Szkole Teatralnej” były tematem żywej i długiej dyskusji na posiedzeniu komisji i na posiedzeniu plenium. Uchwalił wiele wniosków wnoszących prośbę o zmiany do wykształcenia aktora, a przede wszystkim pogłębiających je.

III Zjazd P. T. apeluje do Rad Artystycznych poszczególnych teatrów, aby w godzinach wolnych od zajęć teatralnych organizowały dla zespołu pracowników stałe repetytoria i ćwiczenia... aby zorganizowały publiczne wykłady i dyskusje na tematy teatralne... aby przystąpiły natychmiast do organizowania czytelnich bibliotek, a w ośrodkach teatralnych bibliotek.

III Zjazd P. T. zwraca uwagę na konieczność rezytacji „Sceny Polskiej” oraz popularnego tygodnika lub dwutygodnika teatralnego i „zwraca się do Zarządu Głównego

ZASP, aby u właściwego organu rządowego domagał się umożliwienia pracownikom teatrów otrzymywania książek i pism teatralnych z zagranicy”.

Jednym z ciekawych wniosków w sprawie programu kształcenia w liceach aktorskich i W.S.T. był nadesłany referat p. M. Rulikowskiego, omawiający konieczność melodycznego zwrócenia uwagi na poprawność języka. Autor stwierdza w swym referacie, że wskutek niewłaściwego stosunkowania się do zagadnienia rozwoju mowy, co zawsze odbywa się żywiołowo ale bez należytej kontroli rozum, wskutek błędnego liberalizmu w tej dziedzinie, język nasz niby bogacąc się w dziedzinie słownictwa, w rzeczywistości pod względem fonetycznym i morfologicznym w zastraszającym tempie ubożeje i zatracą swą odrębność. Jednym, może nawet jedynym z głównych środków obrony przed niebezpieczeństwem wynikającym z takiego stanu rzeczy, może i powinien być teatr zawsze uważany jako wzór. Ażeby jednak mógł on spełniać ten obowiązek, ci, którzy przezeń mają działać, a więc aktorzy, muszą być odpowiednio do tej roli przygotowani, muszą wiedzieć nie tylko jak mówić, ale i co należy mówić, a czego nie należy.

Bardzo ożywiona dyskusja wywołał wniosek domagający się, aby Zjazd zalecił „uzupełnienie wykształcenia zawodowego przyszłych aktorów, reżyserów i scenografów przez rozwijanie w ciągu studiów ich świadomości politycznej i społecznej”. Wniosek został przyjęty na komisji i na plenium. Zastrzeżenia uzasadnione były tym, że jest to postulat tak oczywiście słuszny, że właśnie wysuwanie go w tak ogólnikowej formie może budzić pewne zastrzeżenia.

Te same założenia teoretyczne i światopoglądowe, których wynikiem był taki wniosek, determinują również przekonanie, że świadomość polityczna i społeczna jest to kategoria tak trudna do zdefiniowania i pojęcia tak luźne, że właściwie nie można się nią posługiwać w planowaniu pewnych realnych instytucji, ponieważ wszystko można w nim umieścić. Można wyraźnie określić przy pomocy jakichś metod można aktorom przekazać wiadomości polityczne i społeczne, że mogą to być pogadanki, kursy, zebrania na dany temat i t. p. wtedy dyskusje sprowadzą się na płaszczyznę argumentów i kontrargumentów, dotyczących zjawisk obiektywnie istniejących, do których oczywiście nie należy świadomość.

Przez „rozwiązanie świadomości politycznej i społecznej” rozumie się pospolicie zwoyczajną agilitację polityczną i w tym wypadku budzi to

oczywiście zrozumiałe protesty. Cała sprawa byłaby prawdopodobnie bardziej zrozumiała gdyby zamiast mówić o „świadomości” powiedziano po prostu, że do nauki w szkołach teatralnych trzeba wprowadzić i to na jedno z pierwszych miejsc wiedzę o społeczeństwie, w którym się żyje, czyli socjologię, dostosowaną specjalnie do problemów i zadań teatru. Sądząc, że jest to temat wart zainteresowania i dyskusji, który niestety na Zjeździe nie znalazł właściwego odzwierciedlenia w referacie.

W dalszym ciągu Zjazdu składały swe wnioski następnym komisje. Specjalnie interesujące były wnioski komisji IV, referowane przez p. Byrskiego, a dotyczące współpracy teatrów zawodowych z teatrami niezawodowymi, oraz organizacji teatru niezawodowego (robotniczego i chłopskiego w fabryce czy na wsi) i wychowania widza. Przeprowadzono wyraźny rozdział pomiędzy teatrem zawodowym a niezawodowym, który tracąc swój niezawodowy charakter podlegać musi normalnej kontroli i procedurze stosowanej wobec teatrów zawodowych. Obowiązkiem ZASP obowiązkowo ingerencji u władz dla uprzywilejowania istniejącego stanu rzeczy i ciągłej kontroli, ale wreszcie stwarzać możliwość zlikwidowania samowolnie organizowanych teatrzyków całkowicie demoralizujących widza i obniżających ogólny poziom kulturalny.

Projekt współpracy ze szkolnictwem ogólnokształcącym referowała p. Maria Wiercińska. Przewiduje on wzajemne przenikanie teatru i szkoły, jak nauka dykcji i recytacji dla nauczycieli, organizowanie audycji artystycznych dla szkół, tworzenie specjalnych teatrów dla dzieci i młodzieży. Jest to przede wszystkim postulat estetycznego wychowania widza już w szkole.

Komisja VI (ref. p. Dardzińskiej) opracowała wnioski dotyczące wykwalifikowania zawodowego administratorów teatralnych. Komisja stwierdza, że „zmienione warunki obecne uwalniają kierownika administracyjnego teatru od spożycia na swoje obowiązki tylko od strony wykładniczej, opłacalności instytucji artystycznej, jaką jest teatr.”

Stwierdzenie to obowiązuje właściwie dla wszystkich wniosków wszystkich komisji i jak wynika z przeprowadzonych obrad zostało milcząco przyjęte za podstawową zasadę Zjazdu. Teatr jest instytucją społeczną, aktorzy są i powinni być wysoko kwalifikowanymi fachowcami, tym bardziej, że dziedziną ich pracy dysponuje największym zasobem środków wywierania wpływu na życie i poziom kulturalny społeczeństwa.

Maria Fideret,

W ZWIĄZKU RADZIECKIM

NAUKI SPOŁECZNE W ZSRR W OBLCIU NOWYCH ZADAŃ

Duży dorobek kulturalny i rozwój nauk społecznych w ZSRR wynika ze spójnej organicznej nauki z życiem politycznym i społecznym kraju — z powstania nowego typu badacza — naukowca — społecznika, krócej mówiąc, z wyrażnej i celowej tendencji do zespolenia teorii z praktyką.

Z tym również związany jest drugi czynnik, tak znamienity dla atmosfery duchowej Związku Radzieckiego, tak wyodrębniający go od Zachodu: niezwykle szybkie tempo, sprężystość w łamaniu i jednocześnie kształtowaniu nowych ideowych nurtów w kulturze, w tendencjach myśli społecznej.

Rozwój nauki i kultury ZSRR nie zna zakrzepłych, niezmienionych metod w ujmowaniu zagadnień, zwłaszcza z dziedziny społecznej, czemu nie przeszkadza pantoflowa jednolitość światopoglądu marksistowskiego.

Duchowi prac i poczynają w ZSRR obcy jest wszelki konserwalizm, niejednokrotnie ściśle związany z dużym dorobkiem kulturalnym, z tradycjami bogatego dorobku naukowego, który nieraz ciąży nad teraźniejszością, hamując jej rozwój.

Na marginesie warto zaznaczyć, że strategia wojenna Armii Czerwonej swoje sukcesy zawdzięcza, między innymi, tej swoistej dla ZSRR zdolności wyzwalania się z pięć wszelkich sżywnych metod, norm i tradycji we wszystkich dziedzinach życia i teorii.

Jeżeli chodzi o nauki społeczne i ich rozwój, to drogi ich nakreślone są w powiązaniu z wewnętrzną i międzynarodową sytuacją Związku Radzieckiego, rysowane na podstawie analizy dotychczasowych osiągnięć i niedoborów.

Jak wiadomo w ZSRR zaplanowano nową pięcioletnią dla powojennej odbudowy kraju. Odpowiednio do tego w dziedzinie nauk społecznych nakreślono plan nowych zadań, nowych wycieczek dla okresu powojennego. Te nowe zadania zostały streszczone w interesującym referacie Aleksandrowa, kierownika wydziału propagandy Wszzechzwiązkowej Komunistycznej Partii.

Na czoło wysuwają się w nim takie aktualne zagadnienia, jak konieczność wszechstronnych badań naukowych, które by wyjaśniły przyczyny ekonomicznej, politycznej i moralnej klęski międzynarodowego a przede wszystkim niemieckiego faszystwu i dały ocenę jej klęski.

Inaczej mówiąc, chodzi o utrwalenie zwycięstwa nad faszystwami i nie tylko zwycięstwa zbrojnego, lecz również ideologicznego, chodzi o doszczętne rozbrojenie faszystwu w każdym zakątku kultury, chodzi o wykrycie wszystkich źródeł społecznych, ideowych, psychologicznych, które zrodziły faszystwu i z których on może się odratować.

Gdyby precyzować te ogólne zadania nauk społecznych dla dziedziny historii, to tu na pierwszy plan wysuwa się potrzeba opracowania historii narodów śośniańskich jako czynnika po-

stępowego w budowie współczesnej cywilizacji europejskiej.

Zadaniem historyków ZSRR jest obalenie zakorzenionego przesądu reakcyjnych szkół historycznych o niewolniczym charakterze plimion słowiańskich, co jakoby znalazło wyraz w niewolniczej psychice narodów słowiańskich. Właśnie ten przesąd, a nie poważny pogląd naukowy, stał się podwaliną niemieckich koncepcyj faszystowskich.

Jako ważny problem natury politycznej i moralnej z zakresu problemów historycznych wyłania się zagadnienie stosunku do caratu. Powstało ono na skutek nieudanych prób poszczególnych historyków rosyjskich, zmierzających do złagodzenia reakcyjnego charakteru caratu, w celu wykazania postępowej roli narodu rosyjskiego.

Otóż założenia tej koncepcji są z gruntu fałszywe i nieludzkie, sprzeczne z prawdą historyczną. Uzasadnienie postępowej roli narodu rosyjskiego nie powinno opierać się na pomniejszeniu reakcyjności caratu. Wręcz odwrotnie. Znana, słuszna teza Marksa o tym, że Rosja carska była zandarcem Europy, więzieniem narodów, nie może ulec rewizji. Podkreślenie jej konieczne jest dziś dla postępu nauk historycznych, dla współpracy z dziejopisarstwem innych narodów, zwłaszcza tych narodów, których historia była ściśle związana z historią Rosji i z walką z caratem (jak na przykład historia Polski).

Z tą ogólną tezą — nieutożsamiania historii narodu rosyjskiego z historią carów — wyłoniło się nowe zadanie dla historyków rosyjskich, a mianowicie, stworzenie głębszych prac naukowych o bunlach, powstaniach i ruchach chłopskich, tak doniosłych dla dziejów Rosji.

Chodzi o to, aby w historii narodów, i walk narodowych odsłonić podstawową dźwignię wszelkiego postępu historycznego, ukazać walkę z uciskiem, walkę ludu, mas pracujących, o sprawiedliwość społeczną.

Doświadczenia gospodarki radzieckiej w okresie wojny i zasady przebudowy tej gospodarki w okresie pokoju, analiza gospodarki światowej, jej nowych form wojenno — państwowego kapitalizmu monopolowego, wzajemny układ sił i wpływów gospodarki zarówno kapitalistycznej, jak i gospodarki ZSRR — oto nowe poważne zadania, stojące przed naukami ekonomicznymi w ZSRR.

Z zakresu problemów filozoficznych na czoło wysuwa się potrzeba poważniejszych prac naukowych z dziedziny logiki, nauki najmniej posuniętej w ZSRR w porównaniu z innymi krajami, jak również z dziedziny psychologii, nie dorównującej poziomowi badań w tej dziedzinie na Zachodzie. Bogate wyniki nauk przyrodniczych w ciągu ostatnich lat, winny pobudzić również myśl filozoficzną do analizy i podsumowania tych nowych metod i dróg jakimi kroczy współczesne przyrodoznawstwo.

Dotychczasowe wyniki i wysoki poziom nauk społecznych w ZSRR pozwalają podjąć

zadanie podsumowania wyników światowej myśli socjologicznej i opracowania krytycznej historii poglądów socjologicznych.

Ogólna idea, jak zaznacza Aleksandrow, która powinna przyswiecać nauce społecznej w ZSRR, opiera się na przeświadczeniu, że marksizm, prawdziwie pojęty, nie jest światopoglądem dogmatycznym, nie jest skostniałą doktryną, lecz twórczą, teorią, rozwijającą się stale i stale kroczącą naprzód.

Jadwiga Sikińska

KRONIKA KULTURALNA ZSRR

„Wielki Kapitan” sztuka niedawno zmarłego pisarza Konstantego Trenjeva ukazała się w przekładzie angielskim. Sztuka ta napisana została w czasie ostatniej wojny, a tematem jej są dzieje wojny 1812 roku. Przekład dokonała Eva Manning.

Maksym Ryski, poeta ukraiński, wydał nowy zbiór wierszy pt. „Podróż do młodości”. Tytułowy utwór jest lirycznym poematem o cechach autobiograficznych. Krytyka podkreśla świeżość języka i bogactwo wyrazów. Poemat składa się z siedmiu części pisanych oktawami.

Wstawołod Iwanow wydał nową sztukę, pt. „Wujaszek Kostia”. Rzecz dzieje się w Orszy w 1942 roku. Główna postać dramatu jest bohater Związku Radzieckiego, Konstanty Zasłonow, dowódca oddziału partyzanckiego. Z zawodu inżynier kolejowy. Zasłonow wstawił się sabotażami na terenach okupowanych przez Niemcy. Wątek dramatyczny tworzą dzieje gestapowca Krautsa, którego wysłano do Orszy dla wykrycia radzieckich sabotażystów.

Olga Serowa, córka sławnego malarza rosyjskiego Waleriana Serowa, ogłosiła niedawno wspomnienia o ojcu. Najwybitniejsze postacie ówczesnego świata artystycznego w Petersburgu, jak Korowin, Polenow, Ulanow i Ostruchow przejawiają się na kartach tej pamiętnika, będącego historyczną rekapitulacją kulturalnego życia dawniej Rosji.

„Od Wisły do Odry” — oto tytuł nowego filmu dokumentarnego Wasylego Bielajewa z terytorium walk pierwszego frontu białoruskiego. Film powstał w czasie walk o wyzwolenie Polski. Mamy tu między in. ciekawe momenty z czasów bitwy o Warszawę i wielkiej parady wojsk polskich po wygnaniu okupanta ze stolicy.

Miasto Kronsztadt wystawiło pomnik Aleksandrowi Popowowi, który pół wieku temu wynalazł pierwszy radio. Bismut znakomitego fizyka ustawiony został w ogrodzie Szkoły Oficerów Marynarki Podwodnej, gdzie przed 50 laty zmontowany został pierwszy radioaparat i skąd poszły w eter pierwsze sygnały Morse'a.

Konrad Kraplwa, białoruski dramaturg, autor „Partyzanta”. „Kto śmieje się ostatni!” i in. napisał nową komedię p. t. „Młoty człowieka”. Tematem komedii jest egoizm i szkodnik społeczny, który w czasie wojny miał doskonale sobie urządzić prywatne życie.

mp

NOTY

OSOBLIWE INFORMACJE

POSLA LONDYŃSKIEGO UNIwersYTETU

W czasie dyskusji na temat polityki międzynarodowej w Izbie Gmin wystąpił z przemówieniem na temat polskie posel uniwersytetu londyńskiego, niejaki Sir E. Graham Little.

Wysunął on między innymi żądanie, aby „Czerwona Armia przestała wtrącać się do wyborów w Polsce, co obecnie czyni (podkreślenie nasze — red. „Kuźnicy”).

Na temat tej ingerencji Armii Czerwonej w wybory, odbywające się w Polsce, Sir Little podaje zaiste wstrząsające szczegóły, opowiedziane z niemal matematyczną, ściśle naukową dokładnością.

Dosłownie: „W Polsce istnieje cała armia i zw. komisarzy wyborczych — którzy są bardzo aktywni i zmuszają głosujących do oddawania głosów tak jak sobie tego komisarze życzą. W przeciwnym razie komisarze jakoś „załatwiają się” z wyborcami, a w rezultacie kandydaci przechodzą 100 proc. głosów”.

Doprawdy straszliwe! Wyobraźmy sobie zgorzenie co konserwatywniejszych i lepiej zakonserwowanych ładów przy słuchaniu tych „Opowieści Raczkiewicz”, pardon — „Opowieści Sir Grahama”.

Tylko — że my, w Polsce, nie możemy w żaden sposób zrozumieć, przy jakich to wyborach w Polsce działała straszliwa armia komisarzy wyborczych, „załatwiająca się” ponoć jakoś z nieposłusznymi wyborcami. Jako że — może to stwierdzić najgorętszy wielbiciel inspiratorów p. Little'a, byle znajdował się na terenie kraju — jak Polska długa i szeroka żadne wybory u nas się nie odbywają.

Pewnemu brytyjskiemu mężowi stanu, jeszcze w czasie konferencji wersalskiej, zdarzył się zabawny casus: przy omawianiu sprawy Górnego Śląska oburzył się na pretensje Polski do... terenów Bliskiego Wschodu. Jak się okazało angielski generał, a po prostu pomieszał „Silesie” (Śląsk) z „Cilicie” (Cyllicja)... Czyżby podobnie Sir Graham chcąc mówić o Polsce, sięgnął do teckiz zawierającej opis „przygotowań wyborczych” greckiego rządu wulgarijsa?

Posel uniwersytetu londyńskiego powinien, mimo wszystko, znać się bodaj trochę na geografii...

Bom

DUET

„Jestem niezmiernie wzruszony, gdy widzę czego dokonała armia niemiecka podczas walk w Kowlu, ratując rozłożone tu w tej sali przed mioty kościelne. Mam zaszczyt w imieniu duchowieństwa diecezji lubelskiej podziękować za to. Będzie to zawsze świadectwo o bohaterstwie i dzielności niemieckiego żołnierza. Cięższą się również, że w Pańskim Dystrykcie, Panie gubernatorze, dr Wendler, dobra te zostały przechowane. Właśnie Pan okazuje od samego początku swego urzędowania w Lublinie dużo zrozumienia i poparcia dla kościoła. Dziękuję Panu z najgłębszego serca”.

(Z przemówienia ks. dr Kruszyńskiego, wikariusza generalnego diecezji lubelskiej, do gubernatora dystryktu, dra Wendlera, w czerwcu 1944 r.)

* * *

„To pozytywne i piękne dzieło mamy do zawdzięczenia Panu Generalnemu gubernatorowi, jako też celowemu i życzliwemu poparciu władz. Niech mi wolno będzie za to Wysockiemu Inicjatorowi i Panom Przedstawicielom Władz wyrazić na tym miejscu szczerą naszą podziękowanie”.

(Z przemówienia prof. dra Piotrowicza, obecnie członka Polskiej Akademii Umiejętności, do starosty miejskiego Krakowa — Kraemera, na inauguracji założonego przez hitlerowców „Teatru Powszechnego”).

* * *

Jeden z periodyków polskich drukiem — jakże obszerna, niestety! — „lista strat kultury polskiej” w okresie okupacji. Kto wie, czy nie wypadnie przystąpić do ułożenia listy całkiem innego rodzaju.

DWA TYPY POSTĘPOWCÓW.

Są dwa typy postępców. Jeden typ „bud-dyjski”. Ten, który chce, aby przede wszystkim „wszystko było wolno”. W konsekwencji także wilkom zjadać owce. Jeśli bowiem ten „buddyjski” ideał wolności uzna się za postulat centralny — także są i muszą być konsekwencje praktyczne. To bardzo niemrawa „postępowość”. I podejrzana. Zwolennicy wolności w marcu i kwietniu 1917 r., kiedy mogło się jeszcze zdawać, że sytuacja będzie sprzyjała reakcyjnym generalom — zaczęli twardo sirze lać w czerwcu, kiedy zdecydowali się zabronić masom decydować o swojej wolności. Bo jest i drugi — sądzę właściwy typ — postępowca, który walkę z przemocą traktuje jako centralny postulat. Wie od początku na co zezwalać a czego zabronić. Wyrazem tego stanowiska jest zasada „manifestu lipcowego”, że swobody demokratyczne nie są dla wrogów demokracji. I to jest zdrowa zasada, to jest rzeczywiste umiowanie postępu, a ten się wybiera. Cenne jest w człowieku, że umie szanować innych. Ależ zdajmy sobie sprawę, że nie ta cecha ludzka jest najcenniejsza. Ważniejszym jest umieć wybrać to co sprawiedliwe i czynnie opowie-

dzieć się za tym. Myślę, że najcenniejsza jest stronniczość. Jeśli za nią stoją słuszne racje.

żlk

SPRAWDZIAN KULTURY.

To co najbardziej boli głodne i źle wynagradzane masy nauczycielstwa — to niesprawiedliwość w traktowaniu różnych kategorii urzędników państwowych. Tak jest w centrali — tak jest na prowincji. Delegacja nauczycielska zwróciła na to uwagę, ob. Prezydenta, który przyrzekł, że Rząd uczyni wszystko, aby usunąć te nienormalności — czy wprost nadużycia.

Ale jest inny aspekt tej sprawy nie praktyczny — a teoretyczny.

A więc urzędnicy od wojewody do referenta zatroszczeni o pracowników ubezpieczalni czy izby skarbowej, czy urzędu wojewódzkiego, czy wreszcie poczty — a zapominają o nauczycielu. Wynik pracy nauczyciela jest dla nich mało uchwytany, nie wiadomo jak go zapisać w wykazach produkcyjnych. Praca wychowawcy i sam pracownik są, jak z tego wynika, mniej ważni, mniej potrzebni od innych „produktywniejszych” pracowników. I tak myśli się, gdy spustoszenia moralne dokonane przez okupację, rodzimy faszyzm, rodzimą ciemnotę, wołają o najradykalniejszą naprawę. I w tej sytuacji pomijanie, zaniedbywanie nauczyciela, spychanie go na szary koniec jest zbyt częstą praktyką wszelkich instancji. Otóż to między innymi jest symptomem. Niestety, przerażającego niskiego poziomu kultury u nas. Inaczej nie da się zrozumieć. Trzeba to sygnalizować. I zwalczać.

żlk

ULICE SZABROWNIKÓW

Kiedy pierwsza grupa kolonizatorów przyjechała do Sopot, natychmiast zawiązała Zarząd Miejski, po czym szybko, dokładnie i planowo rozdzieliła między siebie według klucza międzypartijnego co najlepsze lokale, hotele i sklepy. Mniejsze restauracje i sklepiki hojną ręką przydzielano znajomym za głupie 50% od obrotu. Hotel Morski, najładniejszy hotel w Sopocie naczelnicy wydziałów pośtanowili prowadzić zbiorowo. Wspólna praca daje zawsze dobre wyniki. Hotel przynosił do 8000 zł dziennie czystego dochodu. Zastępcom naczelników wydziału także źle się nie wiodło. Taki np. Zielński, przewodniczący komisji przydziału lokali, wziął 7 sklepów i małą restaurację „Słoneczko” dla najbliższej rodziny.

„Dni prywatnej inicjatywy” należą do przeszłości. Wszyscy ci panowie siedzą już oczywiście w kryminalu. Ale szlachetna i szanowna Nadzwyczajna Komisja dla Walki z Nadużyciami, zagrzebana po uszy w fałszywych bilansach, zapomniiała o pewnej drobności. Pierwszy Zarząd Miejski w Sopotach rozdzielił według klucza międzypartijnego nie tylko sklepy i lokale, podzielił między siebie również... ulice. Młodsi kolonizatorzy nie znali oczywiście za dobrze ani historii ani literatury. Jak w popularnej zabawie w „inteligencję” lista sławnych ludzi szybko im się wyczerpała. Co robić? Postanowili co pięknym imieniem nadać własne nazwiska. I oto ma swoją ulicę w Sopotach pierwszy naczelnik wydziału drogowego, ma swój placik pierwszy naczelnik wydziału finansowego, ma jakąś dróżkę i kierownik transportu i kierownik stolówki i podobno nawet jeden z woźnych. Ma również niezgorszą aleję i pan Jan Winiecki. Dziś, biedaczek, siedzi w kryminalu, ale ulica Jana Winieckiego pozostanie już na zawsze w Sopotach na pamięć... pierwszych szabrowników.

jk

ANTOLOGIA NA POWIELACZU

Wyszła w Krakowie na powielaczku (!) antologia poezji polskiej z lat 1938—1945 pt. „Z lat wojny” w układzie i z przedmową Kazimierza Wyki. Jest to wyczyn zważywszy rzeczywista

Z „SZOPKI POLITYCZNEJ”

W najbliższym czasie odbędzie się w Łodzi premiera pierwszej po wojnie „Szopki politycznej”. Przytaczamy z niej fragment pio-

senki księcia Sapięha, pióra Janusza Minkiewicza.

potrzebę takiej antologii i fakt jej szybkiego wydania (przedmowa datowana jest 31 maja br.). Znanie nam wielkie wydawnictwa smażą podobną antologię długo a długo.

Nie wszystko mi się w tej antologii podoba. Nie ja ją jednak podpisuję, ale Wyka. Ma prawo patrzeć na poezję polską, tak jak mu się podoba. Niektórych poetów nie mógł rzeczywicie umieścić, bo zjawili się dopiero później w kraju, do niektórych źródeł nie miał jeszcze dostępu, ale do niektórych pisarzy nie chciało mu się chyba zwrócić osobiście, bo przecież cała Polska była w owym czasie już wyzwolona. Jedno jest jednak niewybaczalne: brak Lucjana Szezwalda. A korzystał przecież Wyka — jak to widać — z lubelskich numerów „Odrodzenia” i z moskiewskiej antologii poezji polskiej (1944). Więc dlaczego? — To byłaby część smutna mojej wzmianki.

A teraz wesoła. To „Objaśnienia” antologii. Śmieszne jest określenie Jastruna jako „poety łódzkiego, średniego pokolenia”, a Ważyka jako „przedstawiciela uproszczonego stylu poetycznego”. Ale można i tak. Popatrzmy teraz na „Zagary”. Grupa ta reprezentowana jest u Wyki przez trzech „czolowych”, generałów niejako (Mitosz, Putrament, Zagórski) i jednego biednego szeregowca Aleksandra Rymkiewicza. Z ilu poetów składała się w takim razie dywizja „Zagarów”? Wogóle tych „czolowych” naliczyłem wśród czterdziestu poetów antologii trzynastu, a „głównych” poetów — czterech. A. M. Swinarski figuruje jako „czolowy satyryk” (jeden zresztą), a Światopełk Karpiński prawie że incognito jako „poeta łódzki”. Niejaki St. J. Lec, obdarzony tu zresztą pięknym mianem „poety-partyzanta Armii Ludowej” ośmiela się zapytać, czy wypadł on rzeczywiście dopiero czasu okupacji sroce leśnej spod ogona i dlaczego nie ma w tej antologii również poetów-partyzantów Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, Korpusu Bezpieczeństwa itp. A jeśli nomenklatura miała być rzeczywiste według zajęć podczas okupacji, to dlaczego nie pisze się tam np.: K. Wierzyński, poeta-uciekł-nier szosy zaleszczyckiej?

Ale lepiej tak wydwadzać, aniżeli nie nie wydwadzać. Czytelnik będzie zadowolony. Czytelnik, przez małe „cz”. Wykazał się Wyka czy! wyczyn Wyczyn.

sl.j.l.

GŁOSY O STRAJKU

Są głosy, które mówią o nastrojach strajkowych wśród nauczycieli. Nauczycielstwo w Polsce strajkowało tylko raz. Pamiętamy kiedy. Aby przeciwstawić się zbierającej fali faszyzmu.

Toteż dziś nie będzie strajkowało. Dziś bowiem jest czas na pracę nad normalizacją życia. Głos nauczycielstwa zawsze będzie wystawiany przez czynnik rządzący. Dziś, gdy produkcja nasza dopiero rusza — nie ma czym dzielić się — by sprawiedliwie każdemu dać coś. Ale cały świat pracy i jego czynnik kierujący zawsze tak podzielił posiadaną kromkę chleba, by nauczycielowi przypała część nie mniejsza niż innym. Każda anomalia będzie usunięta zaraz po zasygnalizowaniu. Bo, wiemy to jasno: jest dobra wola po stronie Rządu, Centr. Komisji Związków Zawodowych i wszystkich zainteresowanych. Toteż nauczyciel demokracja daleki jest od strajku. Nie zamaci jego pracy reakcyjny agent. Z tym bowiem państwo demokratyczne potrafi sobie poradzić.

żlk

ARAGON NA CENZUROWANEM

Nadchodzą pierwsze egzemplarze książek francuskich. Tomik poezji Aragona: „La Diane française”. Wiersz napisany po straceniu przez Niemców Gabriela Perla, redaktora „Humanite”: „Ballada o tym co śpiewał na miejscu kaźni”. Ten wiersz kursował anonimowo w latach okupacji we Francji i poza Francją. Surowy w stylu, niezmiernie trudny do przełożenia.

Najbardziej rutynowany tłumacz poezji nie zarezybył, czy się z nim upora, gdyby miał nawet przegryzać trudności techniczne przez wiele dni. Bo tu i wersyfikacja ośmiozłotkowa ca i waga słowa i ton... Te wszystkie troski nie trapiły niestety redakcji „Głosu Ludu”, która dorwała się do Ballady przez zrozumiałą wgląd na temat; w niedzielnym dodatku centralnego organu PPR (Nr. 244) gotowy przekład wysokość na światło dzienne szybko i niesfobliwie jak Minerwa z polatanymi żebrami. Tytuł polski: „Ballada o śpiewającym męczenniku”. Niby o samo, a całkiem co innego...

Tłumacz nie spostrzegł nawet, że oryginał jest pisany regularnym wierszem. Ale czego można wymagać od tłumacza, który pozwala sobie na takie obrazowanie:

Aż RKM gradem nagłym
Pieśń żelazem (!) mu utracił.

Tak nie pisze poeta. Poeta pisze po prostu: „Musiano go wykończyć drugą salwą”. (D'une seconde rafale il a fallu l'achever).

Oto jeszcze kilka próbek:

Mówią (!), że w jego celi
Dwóch ludzi tejsze nocy
Szepcą, namówić chcieli (!):
Podaj się, dość przemocy (!)

Albo:
Twoje słowo drzwi otworzy
W świat cię wwidają słowa dźwięki (!)

Albo:
Skłamał to słowo aby po nim
Skończył się twój straszny (!) los.

Zdania lub słowa, które opatrzyłem wykrzyknikami, nie wymagają chyba komentarzy dla czytelników odczuwających wagę słów w poezji. Tłumacz lubuje się na rachunek Aragona jakimś tam „śpiewnym jutrem”, pięknością z bardzo złych młodopolskich tradycji, upiększa i ośmiesza poetę francuskiego, „wspomnij świeżość ranka, bujny kłopot (!)”.

Trudno uwierzyć, aby Redakcja „Głosu Ludu” sama nie spostrzegła, że ten przykład jest nieporozumieniem. I przyko pomysł, że pójdzie to na rachunek Aragona, że pójdzie do świetlic robotniczych, że pójdzie związane z pamięcią Gabriela Perla...

awk

KŁOPOT Z CYWILIZACJĄ

W Nr 7/8 tygodnika poznańskiego „Życie literackie” p. A. Rogulski staje w obronie cywilizacji zachodniej. Przeciwnostawia ją rzekomo biegunowo różnej cywilizacji wschodniej. Przeciwnostawność i różność tych dwu cywilizacji ma być i dziś, właśnie dziś, szczególnie żywa. Mamy chronić „zachodność” naszej cywilizacji.

Co cechuje te dwie cywilizacje według autora? A no: 1) różne zgola typy mistyki, typy stosunku do Boga, 2) różne zgola typy spekulacji metafizycznej, 3) tylko Zachodowi rzekomo właściwy typ imperializmu, (dla autora) rozkoszenie urzeczywistniony w podboju ludów kolonialnych przez Anglików.

Przecieramy oczy! Na współczesną kulturę składa się: mistyka, metafizyka, formy imperialistycznej polityki? Nie będziemy o tym dyskutowali. Panu Rogulskiemu i tego typu obrońcom „kultury zachodniej” radzimy uważnie popatrzeć wokół siebie. Zdać sobie sprawę, co składa się na kulturę współczesną. Zanalizować myśl naukową XX w., techniki tegoż okresu, idee społeczne wyzwalające się ludów. Stwierdzić, że laboratoria fizyczne tak samo są urządzone w Meksyku, Moskwie, Madrycie i Londynie, że traktory takie same buduje Ford i Magnitogorsk, że te same idee wolności nosi w sercu chłop jugoslawiański co i powstaniec annamiński, co i bezrobotny amerykański.

Po tej analizie należy porzucić trząący mocno hitlerowską frazeologią „mit europeizmu”. I zdecydować się, że kultura nowoczesna, to nie kultura wschodu i zachodu, ale jedna kultura całej ludzkości. Tak jak ją rozumiał niezapomniany Romain Rolland, jak ją przeznawał niedługo Multatli.

I tej kultury myśli, wolności, pracy warto bronić przed każdym faszyzmem, każdą reakcją. Nawet „europejską”.

z

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Józef H. — Poznań. Prosimy o inne prace.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie książek recenzencyjnych możliwie w dwóch egzemplarzach. Redakcja rękopisów nie zwraca.

ZAPRENUMEROWAĆ „KUŹNICĘ”
MOŻNA W KAŻDYM URZĘDZIE
POCZTOWYM ZA POMOCĄ PRZE-
KAZU POCZTOWEGO.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA WY-
NOSI 21 ZŁ, KWARTALNA 63 ZŁ.
ADRES REDAKCJI: ŁÓDŹ, PIOTR-
KOWSKA 96.